

TATERNIK

Nr 2/2007 • UKAZUJE SIĘ OD 1907 ROKU





SPIS TREŚCI

Od redakcji.....	1
Odrodzenie (S. Cieślak).....	2
Meeting BMC w Szkocji (M. Ciesielski).....	9
Nowe drogi w Tatrach.....	11
Zima 2006/2007 w Tatrach (M. Ciesielski).....	12
Na południowej ścianie Caraz I (R. Zając).....	14
Morza Południowe (M. Raganowicz).....	17
Alaskańskie peregrynacje (R. Sławiński).....	19
Rosjanie na zachodniej ścianie K2 (J. Kurczab)..	21
Alpinus Nanga Parbat 2007 (K. Baranowska).....	24
Dwa style na K7.....	26
Katowiczanie w Charakusa.....	27
Broad Peak 2007 (J. Natkański).....	29
Rozmaitości.....	30
Narciarstwo wysokogórskie.....	36
Wspinaczka sportowa (A. Kamiński).....	40
Turcja – góry Bolkar 2007 (A. Wojtoń).....	48
Staż ratown. jaskiniowego (T. Traciłowski).....	50
Wyprawa Hoher Göll-2007 (M. Golicz).....	51
„Sportowcy na rynku pracy” (M. Słupińska).....	54
II Meeting Kobiet (M. Młodecka).....	55
Pionierka (M.B. Bednarz).....	57
Recenzje.....	59
Pożegnania.....	61

Okładka: Kinga Baranowska na wierzchołku Nanga Parbat.
Arch. K. Baranowska

Obok: Artur Paszczak na pd. filarze Piz Cengalo (droga *Vinci integrale* 6a).
Fot. Z. Skierski

IV str. okładki: Trident i Tour Ronde w Masywie Mont Blanc.
Fot. Rahel Maria Liu

Od redakcji

Drugie tegoroczne wydanie „Taternika” ukazuje się w raczej nietypowym okresie. Z jednej strony jest to konsekwencja numeru poprzedniego, który „rodził się w bólach” i w rezultacie ukazał się z miesięcznym opóźnieniem. Z drugiej – nagli zbliżający się termin Walnego Zjazdu PZA, przed którym planujemy wydać jubileuszowy numer naszego pisma. Pierwszy numer „Taternika” ukazał się z datą 1 marca 1907, więc 100 lat już minęło. Ale czy może być lepszy moment i miejsce na świętowanie jubileuszu, od najważniejszego zgromadzenia naszej taternickiej społeczności?

Zbierając materiały do bieżącego numeru nie mogłem liczyć na omówienia sezonu w Tatrach czy górach typu alpejskiego, gdyż jeszcze się nie skończył. Trwa także sezon w Karakorum. Na początku września, kiedy piszę te słowa, wciąż wspinają się Kazachowie na K2 od północy, nie zakończyła się też nasza wyprawa, działająca w słabo znanej grupie Honboro. Nie wróciła jeszcze wyprawa w góry Grenlandii. A więc nie czas na podsumowania i oceny sezonu letniego.

Ostatnie miesiące były ważne dla wspinaczy sportowych i działaczy tej dyscypliny. W Tarnowie, po raz pierwszy w naszym kraju rozegrano zawody o Puchar Świata w konkurencji na czas, z udziałem całej czołówki światowej. Wielkim sukcesem – zdobyciem złotego medalu przez naszą zawodniczkę Edytę Ropek – zakończyła się rywalizacja kobiet. W lipcu z kolei Warszawa gościła najpierw najlepszych wspinaczy Polski, którzy pod Pałacem Kultury i Nauki rozegrali mistrzostwa kraju, a w parę dni później także najlepszych juniorów Europy. Nasi młodzi wspinacze, jak zwykle, brylowali w konkurencjach szybkościowych, cieszyć może również srebro Piotra Bunscha w prowadzeniu – konkurencji, w której dotychczas nie odnotowaliśmy większych sukcesów. Wobec takich osiągnięć sportowych i organizacyjnych, nie powinien dziwić rozbudowany dział poświęcony wspinaczce sportowej.

Numer otwiera alpejskie opowiadanie Stefana Cieślara, naszego rodaka tragicznie zmarłego jesienią ubiegłym roku w Himalajach Nepalu, którego tekst redakcja otrzymała dzięki uprzejmości jego matki, pani Elżbiety Cieślar.

Hitem sezonu w górach wysokich było pokonanie przez Rosjan zachodniej ściany K2 i temu osiągnięciu poświęcamy sporo uwagi. Szkoda, że nie doszło na tej ścianie do konfrontacji dwóch odmiennych stylów himalaizmu sportowego – na sąsiadujący z obleganym przez Rosjan skalnym bastionem żleb zwany „Bananem”, chrapkę miała polsko-słowacka wyprawa z udziałem Piotra Morawskiego. W pierwszej części tej wyprawy – szturmie na Nanga Parbat - udział wzięła również Kinga Baranowska. To co dla Hamora, Kopolda i Morawskiego miało być tylko aklimatyzacją przed K2 (a okazało się całkiem poważną walką), dla Kingi było celem podstawowym, który został z powodzeniem zrealizowany.

Trudne warunki panujące tego lata na K2 sprawiły, że również wyprawa pod hasłem „Śladami Wandy Rutkiewicz” zrealizowała tylko połowę swoich zamierzeń – wejście na Broad Peak. Pech wyeliminował z akcji szczytowej drugą naszą czołową himalaistkę Annę Czerwińską. Nie mogła więc powiększyć swojego stanu posiadania – 6 ośmiotysięczników. A tymczasem, co możemy przeczytać w dziale „Rozmaitości”, zaostrza się walka o kobiecą Koronę Himalajów.

Janusz Kurczab

Odrodzenie

Stefan Cieślak

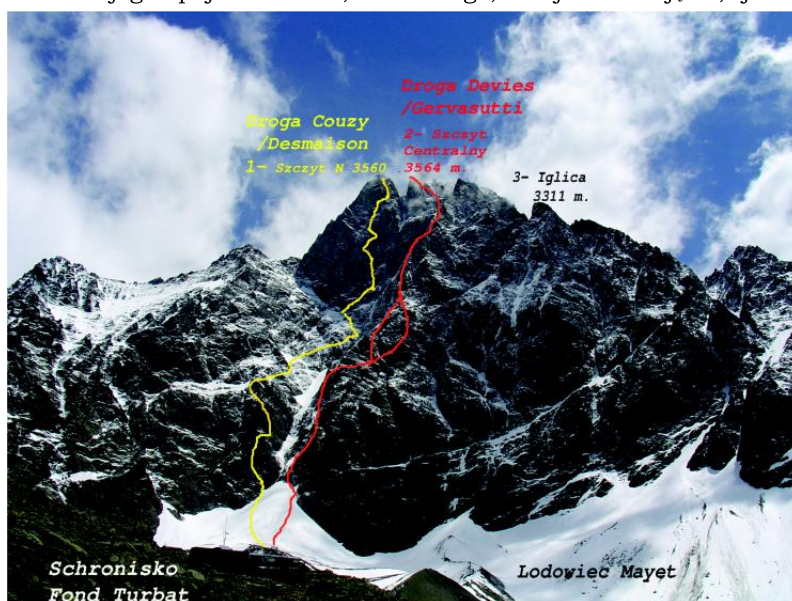
Autor prezentowanego niżej opowiadania, licencjonowany przewodnik alpejski, jesienią ubiegłego roku poniósł śmierć wraz z trójką przyjaciół podczas wyprawy na Ganesh VII w Himalajach Nepalu („Taternik” 1/2007 s.s. 56 i 63). Tekst udostępniony przez matkę Stefana, panią Elżbietę Cieślak, został przez redakcję skrócony o ok. 1/4. Opiswane wydarzenia są fikcyjne, aczkolwiek inspiracją do napisania opowiadania stał się autentyczny wypadek, którego świadkiem był Stefan Cieślak. Zdjęcia wspinaczkowe pochodzą z przejścia drogi Couzy-Desmaison na pn.-zach. ścianie Olan, którego Stefan dokonał w 2000 r. ze swoim bratem Pawłem. (Red.)

Ciemne pasmo nocy zanikało na horyzoncie. Zimne cienie czepiały się granitowych ścian granitowego amfiteatru. Po drugiej stronie doliny szczyt Maximin skąpany był w różach jutrzeńki. Z zazdrością patrzyliśmy na ciepły jego koloryt. Nagle, na tle nieba, wysoko ponad naszymi głowami pojawiło się jego ciało. Najpierw oddaliło się nieco od górskiej ściany wyznaczając parabolę, a potem prostą, pionową linią spadało w dół. René spadał! Ale spadał dziwnie powoli. Można było obserwować każdy jego ruch: najpierw odchylenie ciała do tyłu z równoczesnym wyrazem zdziwienia na twarzy, z powiekami i brwiami niewiele tylko uniesionymi, potem próbę odzyskania równowagi, kilka ruchów ramion i nóg, w końcu przyjęcie pozycji pionowej z rękami zgiętymi ku środkowi ciała. W jego spojrzeniu nie było strachu, jedynie zakłopotanie, lub zaciekawienie. Świadomi niebezpieczeństwa, chcieliśmy krzyknąć „zatrzymaj się”, ale nic już nie było do zrobienia, kości zostały rzucone.

Zawsze, gdy ktoś mnie prosi bym opowiedział historię René, właśnie ten obraz mi powraca. Obraz na zawsze złączony z naszą wspinaczką w Oisans. Na zawsze pozostał zapisany w mojej pamięci krótki filmik z pierwszych chwil upadku.

Może ciekawość, a może nuda skłoniły René kilka miesięcy wcze-

śniej do otworzenia drzwi centrum dokumentacji w Chamonix. Szczyty górskie ponad doliną Chamonix zanurzone były tego dnia w chmurach. Ciężka ich masa wylewała na ulice miasta nieprzerwane strugi deszczu. Zwykle spokojne i ciche centrum, wypełnili wspinacze lub alpiniści poszukujący wyjścia z trudnej sytuacji pogodowej. Cały rząd pozbawionych wszelkiego uroku neonów rzucał blado-zółte światło na stoły i siedzących przy nich ludzi. Każdy z nich był nadzwyczaj skoncentrowany, zatroskany, pełen wątpliwości. W tym pospolitym i uporządkowanym lokalu co jakiś czas któraś z twarzy zmieniała się, rozpromieniona wewnętrznym światłem. Jeśli urok trwał, jeśli gość który przyszedł przejrzeć po prostu jakąś książkę, wychodził pełen nadziei, to dlatego, że jakieś zdjęcie, jakaś

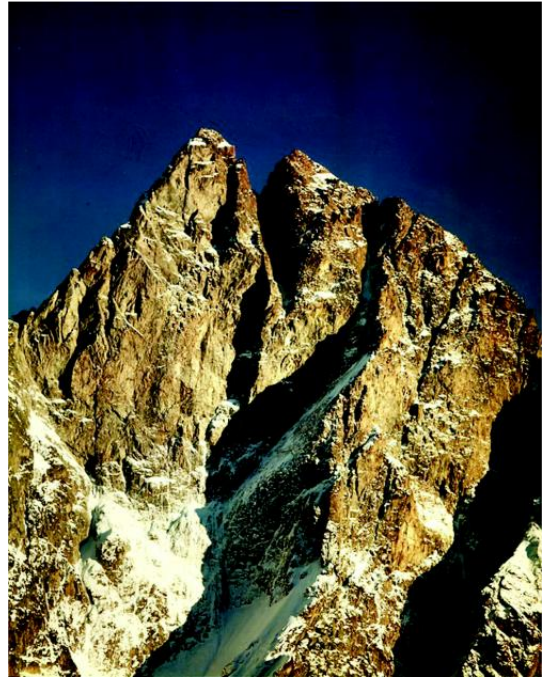


Najważniejsze drogi na pn.-zach. ścianie Olan Arch. E. Cieślak

mapa w kilka sekund, w jednej chwili wywołały w nim iskrę zdolną rozpalić ognisko długiej historii. Jego życie w następnych miesiącach, może nawet w następnych latach, mogło nabrać nowego sensu.

Przeglądając jedną po drugiej nowe drogi, René trafił na bardzo stare fotografie. Od dawna interesował się odległymi masywami górskimi takimi jak Tien Szan, na północ od Himalajów, gdzie zresztą brał już udział w wyprawie. Ale oto między mapami Pamiru i Uzbekistanu zawieruszyła się seria zdjęć z pieczętką FFME* przedstawiająca masyw Oisans. Były to czarno-białe zdjęcia, pożółkłe z upływem czasu. W momencie kiedy szedł odłożyć je skrupulatnie na miejsce, uwagę jego obudziła fotka północno-zachodniej ściany Olan. Przyzwyczajony był wyobrażać sobie Olan w formie czarnej smukłej piramidy, widocznej od strony doliny Fond Turbat. Ale perspektywa na tym starym zdjęciu była oryginalna. Musiało być zrobione od północy, z szczytu Maximin. Widoczny był na nim trójkąt wysokiego, liczącego 500 metrów, północnego wierzchołka spoczywającego na cokole, wprawdzie mniej stromym, lecz równie wysokim. René zrobił na tej ścianie 1000-metrową drogę Bouillu-Villemar, uznawaną za najbardziej stromą na tej ścianie. Jednak wydawało mu się, że pierwszy raz widzi ten filar, wznoszący się na prawo od cokołu góry, między wejściem jego imiennika, René Desmaisona, a drogą otwartą przez Deviesa i Gervasuttiego. U swych stóp miał on formę ciemnego, stromego trójkątnego cokołu. Wyżej, po serii przewieszek pośrodku ściany, wznosił się ten smukły filar, obramowany na prawo głęboko wyżłobionym kominem, zaś na lewo – cieniem, który rzucało na niego końcowe skalne zacięcie drogi Desmaisona.

Nagle jego spojrzenie stało się odległe, niewidzące deszczu bębniącego o szyby. W jednej chwili jego zainteresowanie północnymi Himalajami utraciło swą siłę. Według niego, żadne opracowanie nie wspominało o drodze na tym filarze. Obrócił fotografię, na odwrocie była notatka: próba wejścia prawym filarem – 1954 René Desmaison. Wydawało mu się, że spostrzega jakiś niezwykle związek między sobą a tym nazwiskiem. Na innej fotografii, w cieniu niezwyklej ilości przewieszek można było z łatwością rozpoznać stojącego na stanowisku René Desmaisona, w towarzystwie nieznanego alpinisty. Swe poszukiwania René



Górne partie ściany Olan

Arch. red.

prowadził stojąc nad stołem zapełnionym porzucanymi mapami Azji. Teraz usiadł, jak ktoś, kto przyszedł do schroniska po czterech godzinach marszu i przebija wzrokiem szybę i gęstą zasłonę alpejskiego deszczu, by sięgnąć wzrokiem gdzieś na słoneczne południe.

Ekspedycja w Tien Szan byłaby spełnieniem marzenia. Znalazłby się tam w nowej sytuacji, skierowanej całkowicie ku przyszłości, ku nieznanemu. Tymczasem Olan będzie dla niego zmierzeniem się z przeszłością, z historią i poprzednimi realizacjami wśród których mógłby znaleźć właściwe sobie miejsce. René był sparaliżowany. Niezdolny do podjęcia decyzji wyboru. Żeże oczekiwał odpowiedzi. Powiedziałem: pozostało nam sześć miesięcy na przygotowanie wyprawy. Jeśli pójdziemy na Olan we wrześniu, będziemy mieli zupełnie dosyć czasu, by przygotować się i wyruszyć w Tien Szan następnej wiosny.

Dolina była szeroka i całkiem płaska na środku. W strumieniu płynęła woda w równym i spokojnym, letnim rytmie. Wzdłuż brzegów błyszczały we wrześniowym słońcu, krople wody na żółtych, wyschniętych trawach. Z daleka dolatywał szum wodospadów. Z obu stron strumienia rosły zrudziałe od pierwszych przymrozków jeżyny

i krzewy rododendronu. O tej porze roku Dolina Valjouffrey pozbyła się już wycieczkowiczów, przygotowywała się do zimy. Mimo, że tysiące butów wydeptywało na niej ścieżki od lat, René miał wrażenie, że jest tu pionierem, odkrywcą urody górskich szczytów otaczających dolinę. Już w 1956 roku zrobiono pierwsze wejście północną ścianą. Od tego czasu wiele innych dróg otworzyli kolejni wspinacze. Pozostał jednak jeszcze jeden filar, szansa dla niego, nadzwyczajny przywilej. Musi z niej skorzystać, nie może zawieść, w przeciwnym razie czułby się odpowiedzialny.

Przechodząc przez wodospad Pissard, René dostrzegł szczyt Olan na wprost ujścia doliny. Zatrzymał się pod wrażeniem tego widoku. Choć już wspinał się na Olan, to jednak wydawało mu się, że widzi go po raz pierwszy. Było to tak, jakby czas zawrócił. U stóp dziewiczej ściany pełnej niewiadomych, miał wrażenie, że jest 1954 roku w czasie pierwszej próby wejścia północną ścianą tej góry.

– No więc, gdzie jest ten niezdojty filar? – Niepokoił się Żeże.

– Szczyt tworzy romb, a jego dwa przeciwstawne końce są objęte tym filarem – tłumaczył René.

– Widzę dobrze romb, ale gdzie jest filar...

– Tu gdzie jesteśmy, nie jest dobrze widoczny, ale w głębi doliny, w dobrze dobranym miejscu pojawia się cała jego wysokość.

– Hmm... nie wiem o jakim filarze mówisz?

Widocznie w momencie, gdy odpoczywali nad strumieniem, Żeże był w innym nastroju niż René. Ktoś mógłby powiedzieć że Żeże nie pogodził się z odłożeniem na później wyprawę w Tien Szan. Może Żeże miał żal. Ale przecież, po pierwszym rozczarowaniu, z pełnym entuzjazmem przygotowywał wyprawę na Olan. Olan stał się dla niego koniecznym etapem przygotowującym ich na Tien Szan. To nie były jakieś wykręty, on naprawdę nie widział filara.

Wieczorem w schronisku Żeże wygłosił teorię: „W górach, jak się już zaczęło jakąś drogę, trzeba ją skończyć”. Nie miał już wątpliwości, co do wyboru celu. Mówił więcej niż zwykle, robił wszystko na raz, dopasowywał raki do butów, grzał jedzenie i porządkował swoje myśli mówiąc: Co jest istotne? Pójść z kumplami na mityczną górę, otworzyć drogę, która jest niemożliwa do przejścia. Jego ruchliwość była wzruszająca. René, pochylając

lekką głowę, słuchał go z uwagą. Oczywiście musiał się z nim zgodzić. A jednak te słowa, choć były trafne, nie mogły wyrazić naszej przyjaźni, przygód razem przeżytych, naszej wspólnej historii, naszych pragnień – wszystkie te słowa były zużyte, wypowiedziane, stałyby się natychmiast puste. Czując to Żeże jeszcze szybciej przykręcał śrubki raków.

– Ciekawy jestem dlaczego Desmaison zawrócił na filarze w 1954-tym? Powiedział Żeże. Pytanie wyrwało nas z otępienia.

– Bo było może brzydko, albo też za trudno – powiedział René.

– Trzeba było postawić to pytanie, zanim wyruszyliśmy. Gdybyśmy mieli jego numer telefonu...

– Mam jego numer, powiedział René, ale to było przecież 50 lat temu, jakby mógł sobie dziś przypomnieć taki szczegół?

Głos René lekko drżał, brzmiało w nim jakieś zawstydzenie. Miał rację, Desmaison napewno nie mógł pamiętać tych detali. Dlaczego jednak szukał jego numeru telefonu. René Desmaison był i jest dla wszystkich postacią mityczną w dziedzinie wytyczania nowych dróg. Jego nazwisko naznaczyło liczne ściany od Alp po Andy. Po odkryciu fotografii w bibliotece ÉNSA, René usiłował nawiązać kontakt z alpinistą. Nawet bez wchodzenia w szczegóły, Desmaison mógł powiedzieć, czy zawrócił z drogi z powodu trudności we wspinaczce, lub poprostu ze względu na złą pogodę, czy też z obu tych powodów naraz. Czy jednak czasem René nie przyciągała w gruncie rzeczy postać sławnego alpinisty, niezależnie od wszystkich pytań, które mogłyby mu postawić?

– Nie rozumiem dlaczego nie zadzwoniłeś? – powiedział Żeże.

Nagle płomień świecy zachwiał się. Podmuch wiatru przemknął przez szparek w drzwiach.

– Pójdę zobaczyć czy chmury przechodzą – powiedział René. Wyszliśmy za nim. Nie było już księżycy i na dworze panowała kompletna noc, wypełniała całą przestrzeń. Migoczące gwiazdy wybijały się na pierwszy plan. Góry zatopione były w czerni, przypominały niezmiernie głębiny. Bardziej na lewo ta skalna „głębina” nadgryzała niebieski skłon rombem swego szczytu. Był to północny szczyt Olan. Na kilka godzin przed wschodem słońca wejdziemy w te skalne „głębiny” i zostaniemy pochłonięci przez górę. René zrobił kilka kroków i wyciągnął ręce przed siebie.

– Można by powiedzieć, że nas pochłonie jak zwykle marionetki. Jeślibym nie znał tych stron, mógłbym przysiąc, że znajdujemy się na końcu świata.

Lodowaty podmuch wiatru zmroził nam twarze. Dreszcz zimna wstrząsnął Żeże.

– Nie wiem czy on mnie przeraża, czy przyciąga – powiedział René wznosząc głowę ku górze. Olan przygniatał nas swą czarną wysokością.

Żeże otworzył drzwi schroniska, ale zanim wszedł, zapalił swoją czołówkę i podał ją René.

– Jeśli chcesz pójść, by ją zobaczyć, weź to – powiedział śmiejąc się i wszedł do środka.

René zgasił lampkę. Nasze źrenice zwezęły się w ciemnościach. Czarna dziura nocy znowu otworzyła się przed nami. Zwrócony twarzą do tej próżni, René powiedział:

– W świetle lampy, śmierć widzi cię... Wolę przyzwyczaić się powoli do ciemności aby upewnić się, że jej tu nie ma.

Z głębi schroniska dobiegł nas głos Żeże: Zupa gotowa!

Wydarzyło się to wczesnym ranem. Słońce już wstało, ale w małym, skalnym amfiteatrze panował głęboki cień. Po biwaku na szczycie górskiego cokołu wspinaliśmy się w kominie skalnym na prawo od drogi Couzy-Desmaison. René szedł na pierwszego. Przebył już 30 metrów i zniknął nam z oczu za skalnym występem. Poniżej nas długa linia leja pokrytego lodem schodziła aż do dna doliny. Na naszym stanowisku, lina przestała się przesuwac. Żeże asekurował pogwizdując melodię piosenki śpiewanej przez Dalidę „Właśnie skończył osiemnaście lat...”

Aby dojrzeć René, odchyliłem się do tyłu napinając linę. Był niewidoczny, ale domyślałem się, że wahał się, którą z dwóch przewieszek ma zaatakować. Wydawało mi się, że słyszę jego oddech, świszczący między ściśniętymi zębami. Lina posuwała się ku górze małymi skokami. Żeże przestał gwizdać i dodał luzu, ale na nic. Lina zsunęła się o tyle samo, o ile przedtem wzniosła się do góry.

– Co się dzieje? – zapytał Żeże. Miał podniesione pytająco brwi i usta zwinięte w trąbkę jak klaun. Lina pozostawała w bezruchu przez długie minuty. Wahałem się czy zawołać René, który był nadal niewidoczny. Dystans między nami i szum wiatru uniemożliwiały kontakt głosowy. Jedynie ruchy liny mogły nas informować o sytuacji w jakiej się znajdo-

wał. Żeże z wzrokiem utopionym w odległym pejzażu znowu nucił „Właśnie skończył osiemnaście lat...” Nagle usłyszeliśmy dźwięk wbijanego haka, najpierw dwa niepewne uderzenia, później trzy dźwięczne i trafne. Dźwięk rozchodził się po małym amfiteatrze coraz ostrzejszym brzmieniem. Żeże ziewnął, znudzony przestał obserwować pejzaż i zwrócił się do mnie: „Hak dobrze dźwięczy”. Ale właśnie w tym momencie usłyszeliśmy jeszcze dwa uderzenia dudniące glucho, wreszcie ostatnie, lekkie, było już oddane całkiem bez przekonania.

– Nie warto się z tym hakiem wysilać, jest do niczego – podsumował Żeże.

Naprzeciwko nas słońce oświetliło iglicę szczytu Maximin, która teraz płonęła pomarańczowym, ciepłym światłem. Ciemna przestrzeń nocy uciekła już na zachód znikając prawie zupełnie w błękitach poranka, ale na ścianie pozostały jej głębokie cienie. W najlepszym wypadku będziemy mieli słońce pod koniec popołudnia.

René ponad nami, podczas przejścia przewieszki, asekurowany był na wątpliwym haku. Jeśli ten hak puści, następny znajduje się 10 metrów poniżej zwartej skalnej ścianki. Rozumiałem dobrze jego wahania. W razie upadku zleciałby co najmniej 20 metrów. Może jednak znajdzie kilka metrów dalej szczelinę, pozwalającą na wbicie w przewieszce haka zapewniającego bezpieczeństwo. W końcu może ten hak nie jest aż tak źle osadzony, może jego położenie jest takie, że w razie upadku lina szarpnie go w dobrą stronę. Co jednak było ponad przewieszka? Czy znowu gładka ściana nie pozwalająca na osadzenie haka? Teraz René znajdował się w tym decydującym, równocześnie upragnionym i budzącym strach momencie, kiedy konieczne jest podjęcie właściwej decyzji działania dostosowanego do sytuacji. Błąd oznacza poważne konsekwencje: w najlepszym wypadku wycofanie się z drogi lub koszmarny strach i kontuzja, a w najgorszym śmierć...

Żeże wyglądał się, wyciągnął do przodu język jak trup i złączywszy ramiona wykonał gest lotu, niczym dusza lecąca do raju.

Planowaliśmy powrót we wtorek wieczór lub w środę. We wtorek Sonia poszła w Grenoble na 18-tą do kina. Chciała skorzystać z nieobecności René, by zrobić to, na co zawsze brakowało jej czasu. Potem, jak zawsze dołączyła do swych przyjaciółek na

ściance wspinaczkowej. Tego wieczoru było dużo osób i czekając na swoją kolej miały czas porozmawiać. Sonia opowiedziała film. Później przyglądała się innym wspinaczom starającym się dojść aż do sufitu, na którym migwały żółte, neonowe oświetleniowe rurki. Później wyciągnęła z torby butelkę, napiła się i usiadła, by zdjąć pantofle wspinaczkowe. Przyjaciółka zapytała ją: Kiedy wraca Rene?

René pojawił się wysoko ponad naszymi głowami. Żeze myślał, że to spadają kamienie i przycisnął się do ściany. Sylwetka René była dziwna, ramiona miał skurczone i lekko ściśnięte ku środkowi, korpus odchyłony do tyłu. Jego ciało zatoczyło najpierw półkole zanim przyjęło prostą linię ku dołowi. René spadał. Dziwnie jednak powoli, w każdym razie dużo wolniej niż bloki skalne. W pewnym momencie wykonał w powietrzu kilka ruchów rękami i nogami, próbując odzyskać pionową pozycję. Zadawałem sobie pytanie: gdzie był jego ostatni punkt asekuracyjny? Hak nie mógł być daleko i wkrótce lina się napnie. Żeze zawiesił się z całej siły na linie, by być gotowym na szarpnięcie. Ale zamiast się napiąć, lina pozostała luźna. René nadal dziwnie powoli spadał. Mieliśmy nawet wrażenie, że będzie się mógł chwycić za jakiś skalny występ. Chcieliśmy krzyknąć „zatrzymaj się wreszcie!”. Mieliśmy bowiem pełną świadomość niebezpieczeństwa. Nie mając żadnej możliwości działania, pełni uczucia zawodu, patrzyliśmy na jego powolny upadek.

– Właśnie skończył 18 lat, ja miałam dwa razy tyle... Żeze nucił nawet leżąc w śpiworze. Zeszliśmy na wąską półkę skalną zawieszoną nad próżnią, 25 metrów pod przewieszką, z której René spadł... Miejsce robiło na nas wrażenie, że znajdujemy się na granicy świata żywych. Przestrzeń pod nami zasłaniały mgły. René ciepło otulony i nieruchomy, leżał na brzegu. Ułożyliśmy go tak, by nasze ruchy mu nie przeszkadzały. Nie można się było wyciągnąć, ale każdy z nas znalazł własny, mały kącik. Każdy kawałek półeczki został wykorzystany. W końcu nie była tak mała jak się wydawało. Mieliśmy nawet małą kuchnię. Górski amfiteatr stał się naszym domem. Byliśmy przyzwyczajeni do długich

chwil ciszy w której rozbrzmiewał tylko refren nucony przez Żeze. Było już po wszystkim. Wszystko się zatrzymało. Patrzyliśmy tylko na ruch cieni gór przesuwających się w dolinie i chmury które powoli ogarnęły wszystko całkowicie, też nas. Byliśmy podobnie jak góry, nieruchomi. Przede wszystkim René robił coraz bardziej wrażenie że złączył się swym ciałem z górami. Wysilaliśmy się by dodać mu sił, pobudzać do życia, ale powoli oddalał się od nas. Nagle René wyciągnął rękę ze śpiwora. Myślałem, że chce o coś poprosić, ale zamiast tego skierował ją w kierunku mgieł, tak jakby chciał złapać ich kawałek, by się pożywić. Mały kłębek mgły owinął się koło jego palców. Ale René nie próbował jej złapać. Jego ręka była wyciągnięta w kierunku czegoś znajdującego się znacznie dalej. Przeszedł mnie dreszcz na myśl, że wyciągał rękę do śmierci. Najczęściej wyobrażamy sobie śmierć jako kogoś, kto przychodzi po nas



Autor na drodze Desmaison-Couzy

Fot. P. Ciešlar

w najstosowniejszej chwili. Wydawało mi się, że prośba promieniowała z jego poszarzałej, ale uśmiechniętej twarzy. Wydawało się, że mówił: Przyjdź, proszę Cię!

W szpitalu neony oblewały sale białawym światłem. Oboje z Zeże byliśmy wyczerpani, ale cali. Lekarze uznali, że nie musimy zostać na obserwacji. Pokazano nam drogę przez ciemny korytarz do poczekalni. Ciężkie drzwi zamknęły się za nami. Na suficie jeden z neonów migotał bez przerwy. Nieprzyjemnie brzęczał, pewnie kończył swe życie, za chwilę zgaśnie definitywnie.

Sonia była rozczarowana, gdy nas zobaczyła. Doktor powiedział jej z pewnością wszystko, ale zanim zobaczyła, że wracamy tylko my, miała jeszcze nadzieję. Spojrzała na nas zaczerwienionymi od łez oczami i o nic nie pytała. Może była zbyt zmęczona, by o coś pytać. Zeże zrobił krok do przodu i wyciągnął do niej rękę, potem opuścił je. Patrzyła na nas zmęczonym wzrokiem. Zeże odwrócił się do mnie, jakby mnie prosił o pomoc. Cośmy zrobili? Albo raczej czego nie zrobiliśmy? Co tak naprawdę się stało? Upadek René wydał nam się powolny, bo cała nasza uwaga była na nim skoncentrowana. Przeciwno sile grawitacji niewiele można zrobić.

Motywacja René jest pełna woli życia. Wyobraża sobie drogę wspinaczki. Na fotografii wykreśla czerwonym piórem drogę nigdy jeszcze nie przebytą. Przedtem był tylko bezkształtny masyw skał i lodu. Korzystając ze swej wyobraźni, która połączyła chwytły skalne jedne za drugimi, René wyznaczył drogę. Przedtem nie było nic, teraz jest droga. Coś się narodziło. Pod łóżkiem nie ukrywa się już śmierć, ale zapowiedź nowego świata, nowe życie. Strach przed śmiercią przemienił się w akt twórczy, w życie i kawałek wieczności. Północno-zachodnia ściana Olan, droga otwarta przez René X... Teraz jakaś część René pozostanie na zawsze przy życiu. Czy jednak ich wspinaczka zaznaczy się w annałach alpinizmu? Prawdopodobnie nie, lub też jedynie jako odnośnik między liniami, nic więcej. Nie będą prawdopodobnie mieli nawet prawa do tego, by ich nazwisko zostało wymienione



Stefan na szczycie Olan

Fot. P. Cieślak

w miesięczniku. To bezsensowne pretensje i głupia naiwność wyobrazić sobie, że można osiągnąć jakąś malutką część wieczności dzięki kawałkowi zadrukowanego kredowego papieru. Z jakiego powodu nadal ma intensywną wolę pokonania tej drogi? Czyżby miał może jakieś motywacje osobiste, pozbawione pretensji do wielkości. Nawet jeśli nic z niego nie pozostanie i nikt nie będzie pamiętał o ich wspinaczkowej drodze, to przejście zaznaczy się jako etap w jego życiu, jako coś przedtem i coś potem. To będzie jak jakiś rytuał przejścia od dzieciństwa w czas dorosłości, jak konkretny znak wzrostu w życiu w pełni rozwiniętego alpinisty. Wycofując się René zrezygnowałby z tego wszystkiego, z małej cząstki wieczności (lub jej iluzji) z rytuału i z uznania przez siebie podobnych. Czy jednak naprawdę potrzebuje uznania w swym środowisku? Gdy tak patrzy wokół siebie widzi granitowe skały. Patrzy na pionowy profil filara, który odcina się poniżej horyzontu i otaczających w nieskończoność łańcuchów górskich. U stóp ściany Olan otwiera się dolina Valjouffrey. Słońce oświetla oba stoki pobielone pierwszym przymrozkiem. Mała chmurka zastygła na stoku Maximin. W dolinie Valjouffrey nie ma żywej duszy. Góry wydają się zastygać w ciszy. Nie licząc ich, nie ma nikogo, kto mógłby być świadkiem ich wspinaczki, z wyjątkiem może samotnego koziorożca na przeciwległym stoku Turbat. René czuje się nieco zawstydzony tym, że w czasie podejmowania decyzji zostawił tyle miejsca górom. Zdaje mu się że w ten sposób oszukiwał Olan. Chciałby, by martwa

materia gór była wyposażona w pamięć, by skały pamiętały jego przejście aż do końca ich geologicznego życia. Nachyla twarz do skały prawie ją całując i szepcze: Daj mi kawałek twojej wieczności. René patrzy ku górze na wybrzuszenie skały tam, gdzie czuje, że ukrywa się uchwyt. Odchyła się do tyłu. Wydaje mu się, że dostrzegł jakiś ruch, jakiś ciemny kształt. Może to gór-ska kawka? René znowu myśli o szkielecie okrytym czarną opończą. Myśli o Soni, która czeka na niego tego wieczora. To nie jest właściwy moment na brak koncentracji.

W rzeczywistości, zanim podjął ciąg dynamicznych ruchów wspinaczki, dostrzega dwa metry niżej hak, który właśnie wbił w szparę, usiłuje sobie przypomnieć dźwięk towarzyszący ostatnim uderzeniom, nie był nadzwyczajny... Spojrzy jeszcze 10 metrów niżej na zaczep liny pod nim, i jeszcze niżej, gdzie w odległości 25 metrów mała półka skalna oczekuje na jego ciało. Siada właśnie na niej czarna kawka z żółtym dziobem. René waha się. Może jednak hak jest dobrze wbity. Może jest zdolny zrobić te parę kroków bez upadku. Jeśli jednak chwyt, którego istnienia domyśla się powyżej przewieszki, nie jest dobry? Czy jest inne wyjście? Nie ma szczeliny, by wbić jeszcze jeden hak. Za dużo czasu wzięłoby wiercenie dziury na spita, na pewno kilka godzin. Nic nie zmusza go być najlepszym. Przyjdą inni wspinacze i nawet jeśli nie przejdzie, góra będzie trwać i uparcie ukrywać swą tajemnicę. Nic jej nie zmusi, by oddała komuś sekret swego wiecznego istnienia. René ukróca swe żądania: Zrób mi miejsce wewnątrz twej tajemniczej natury. René przykleja policzek do skały. Granit jest chropowaty. Czuje jego ukłucia na twarzy. Tylko kilka centymetrów skóry dotyka głazu, ale ma wrażenie, że cały do niej należy. Przez chwilę jest u siebie. Góry otworzyły przed nim swe wrota. Gigantyczna masa gór od cokołów po szczyty i rozgałęzione granie, a także rozciągające się u ich stóp doliny pochłonęły go. Teraz szepcze im do ucha. Czuje jak w odpowiedzi poruszają się. Cała jego niepewność nagle wydaje się odległa. Podjął decyzję. Jest zadowolony. Może wejść.



Panorama centralnej części Masywu Écrins. Na drugim planie od lewej: Barre des Écrins (4101 m), Pic Sans Nom (3914 m) i Ailefroide (3954 m). Arch. red.

„Właśnie skończył osiemnaście lat...” – Salka baru była ciemna i pełna dymu. Głośnik nadawał piosenkę Dalidy. W kącie dwie brunetki zaśmiewały się z czegoś. Wydawało mi się, że jedna z nich przyglądała się René. Od czasu, kiedy Sonia opuściła go, René szukał nowej dziewczyny. Żeze przyniósł kufle piwa. Gdy stawiał je na stole piana przelała się i utworzyła na stole białą spiralę. Żeze szukał w swojej torbie fotografii. Grzebał w paczuszce zdjęć, wyciągnął dwa i położył nowe obok starego, pożółkłego zdjęcia z 1954 roku. Właściwie były takie same. Na obu można było rozpoznać przewieszkę w stromej części prawego filara. Stara fotografia była czarno-biała, widać było René Desmasona i jakiegoś innego alpinistę. Obaj byli w kominiarkach i mieli przyklejony do twarzy przymusowy uśmiech. Na nowym zdjęciu René miał uśmiech równie nienaturalny. Natomiast Żeze, uśmiechał się od ucha do ucha w ten sposób, że najbardziej sceptyczni musieliby uwierzyć w zwycięstwo. Patrząc na zdjęcia Żeze wybuchł głośnym śmiechem. Dziewczyny w kącie przyglądały się mu z ciekawością. To należy oblać! Stuknęliśmy się patrząc sobie w oczy, a Żeze bez żadnego obciachu podszedł do brunetek by i z nimi się stuknąć.

W sierpniu 2003 roku, w czasie powrotu ze szczytu Turbat duża grupa alpinistów doniosła o kolosalnym osypisku głazów na północno-zachodniej ścianie Olan. Czy prawy filar całkowicie zniknął, czy też został tylko nieco naruszony? Wątpliwość pozostała, szansa trwa.

Międzynarodowe spotkanie wspinaczkowe w Szkocji

Maciej Ciesielski

W okresie między 23 lutego a 2 marca 2007 r. wraz z Łukaszem Warzechą miałem przyjemność wziąć udział w organizowanym przez BMC, cyklicznie co dwa lata, międzynarodowym spotkaniu wspinaczy zimowych.

MCofS (Mountaineering Council of Scotland) International Winter Climbing Meet, bo pod takim oficjalnie szyldem odbywa się ta impreza, ma na celu integrację i wymianę doświadczeń między zimowymi wspinaczami z całego świata (podczas naszego spotkania reprezentowane było 23 kraje). Nie przez przypadek na miejsce tego spotkania została wybrana Szkocja, światowa kolebka miksowego wspinania zimowego, dla którego w Polsce przyjęliśmy nazwę klasyki zimowej. Samo spotkanie i jego organizatorzy zaskoczyli mnie swoim profesjonalizmem. Zostaliśmy odebrani wraz z innymi zaproszonymi uczestnikami z lotniska w Inverness i przewiezieni busami BMC do Narodowego Centrum Górskiego – Glenmore Lodge, znajdującego się w Aviemore. Centrum to także zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Znajdziemy w nim nowoczesną kuchnię, dwie ściany wspinaczkowe (jedna do drytoolingu), basen, „sprzętownię”, suszarnie (bardzo przydatne), niesamowicie bogatą bibliotekę, profesjonalną salę wykładową, miłą obsługę i dobrze zaopatrzony pub na piętrze.

Każdego dnia wieczorem odbywała się prezentacja któregoś z „hostów” (opiekunów z ramienia BMC, najczęściej bardzo dobrego wspinacza – poziom szkockiej IX i obecność na pierwszych stronach światowych serwisów wspinaczkowych nie był czymś nad wyraz rzadkim) lub któregoś z zaproszonych gości (a ci też nie byli słabi, wystarczy wymienić nazwiska Yokoyama, Zalokar, Jakofcic, MacDonald, Varco, Wilkinson, Isaac). Jedyne problemy mieliśmy z pogodą, ta była naprawdę marna (podobno najgorsza w historii spotkań), co za tym idzie warunki w ścianach były też raczej fatalne.

Ciągły opad deszczu, wysoka temperatura i częsty silny wiatr sprawił, że kilkakrotnie musieliśmy zostać w ośrodku, albo pojechać powspinać się w sportowych rejonach drytoolowych, lub wręcz na buldery na wybrzeże. Mimo to udało się nam choć trochę poruszać. Na pierwszym piątkowym wykładzie dowiedzieliśmy się dużo o specyfice wspinania w Szkocji a także, że przez pierwsze dwa dni będziemy się wspinąć z Łukaszem razem w jednym zespole z naszym opiekunem Simonem Richardsonem (autorem przewodnika po Ben Nevisie, robił na tej górze ponad 50 dróg).

W takim zespole pokonaliśmy krótką i łatwą drogę w nieodległym od ośrodka rejonie Coire an Lochain. Wtedy pierwszy raz dotarło do nas, co oznacza określenie, że szkockie wspinanie to dużo chodzenia, a mało wspinania;-) (3 godziny podejścia, dwie zejścia, wspinania około 70 metrów). Plany oczywiście były ambitne, ale z powodu wysokiej temperatury, trudniejsze drogi nie istniały. Kolejnego dnia miało być lepiej – i rzeczywiście: nie padało, tylko śiało. W totalnej mgle, zupełnie przemoczeni, rozpoczęliśmy wspinaczkę na mitycznym Ben Nevisie, w jego lewej stronie, drogą No 3 Gully Buttress. Jej niewygórowane trudności i zupełny brak możliwości założenia stanowiska sprawiły, iż około 300 metrową „trójkową” drogę przeszliśmy w najczystszej ze stylów, czyli na „żywca”. Na szczęście pod koniec zagubieni w mgle trafiliśmy na pionowy odcinek i ostatnia długość liny pokonaliśmy już asekurowając się lodowym terenem, wycenionym na szkocką IV.

Następnego dnia – to już była totalna pogodowa katastrofa. Na szczęście zbiegło się to z naszym odpoczynkiem, więc wraz z Łukaszem pojechaliśmy do pobliskiego kamieniołomu poprobować swych sił na tamtejszych drytoolowych drogach (M7 w Szkocji, na spitach, naprawdę nie jest łatwe), a także popodziwiać wyczyny jednego z naszych hostów, którym był Dave Macleod, autor między inny-

Wielka Brytania

mi najtrudniejszej drogi na świecie na własnej asekuracji Rhapsody. Kolejny dzień przywitał nas huraganowym wiatrem i dużym zagrożeniem lawinowym. Większość uczestników udała się nad wybrzeże, by spróbować swych sił we wspinaczkę na klifach i rozrzuconych po plaży kamieniach. Ja postanowiłem wykorzystać przypadkowo otrzymaną propozycję wspinania się z jednym z najbardziej szanowanych przeze mnie współczesnych alpejskich wspinaczy świata – Ianem Parnellem. Naszym celem zostały ponownie ściany Coire an Lochain, gdzie pokonaliśmy drogę



Simon Richardson na wyciągu VI 6.

Fot. M. Ciesielski

Bulgy wycenianą na VII, 8. Ian, który prowadził kluczowy wyciąg, z powodu fatalnych warunków wycenił go na VIII, 8. Dla mnie ta wspinaczka była dużą nauką, także tego, że zimne warunki w Szkocji mogą się zmienić dosłownie w parę godzin.

Ponieważ zapowiadana na środe pogoda miała być w końcu idealna, praktycznie wszyscy uczestnicy spotkania udali się na Ben Nevisa. Wspinaliśmy się wtedy z Łukaszem już w oddzielnych zespołach i jemu udało się poprowadzić w towarzystwie Davida Gerrarda jego pierwszą lodową piątkę Indicator Wall V, 5. Moim parterem natomiast został Stan Halstead, a naszym celem droga Psychedelic Wall VI, 5. Jak się okazało, nie my jedni wspinaliśmy się tej przepięknej linii, której trudności w zastanych warunkach były odczuwalne jako lodowe WI4, za to asekuracja pozostawiała naprawdę dużo do życzenia. Zatem, delikatnie mówiąc, trochę zmarzliśmy, i nie wykonaliśmy naszego zamierzonego planu, jakim były dwie drogi tego samego dnia.

Ostatni dzień także większość z nas spędziła na „Benku”. Niestety, warunki były już znacznie gorsze. Wspinając się w tym samym zespole, co poprzednio, Łukasz zrobił, aż dwie drogi jednego dnia. Na tą łańcuchówkę złożyły się Two Step Corner V, 5 oraz Thompson’s Route IV, 4. Nam razem z Stanem udało się za to pokonać wariant Hobgoblin VI, 7. Początkowo zamierzaliśmy tym trudniejszym wariantem podejść pod kluczo-

we trudności naszego celu, którym była droga Babylon VII, 8. Jednakże ogromna ilość szadzi, którą zastaliśmy w ścianie sprawiła, że skończyliśmy drogę wariantami VI, 6. Zdaniem Stana, w zastanych warunkach nasz kluczowy wyciąg mógł przedstawiać trudności VII (może VIII), 7. Dla mnie to była kolejna nauka, że w doborze dróg w Szkocji najpierw trzeba zwracać uwagę na pierwszy człon wyceny...

Później już tylko pozostało świętowanie sukcesów i planowanie przyszłych wspólnych wspinaczek w naszym ulubionym pubie „na pięterku”, gdzie organizatorzy przygotowali imprezę w iście szkockim stylu.

Na zakończenie chcielibyśmy wspomnieć o bardzo pozytywnych wspomnieniach wśród brytyjskich wspinaczy, jakie pozostawili po sobie polscy uczestnicy ostatniego spotkania dwa lata temu. Mam tu na myśli Jaśka Kuczerę i Marcina Rutkowskiego.

Pozostaje marzyć, byśmy w Tatrach doczekali się ośrodka takiego, jaki ma BMC... Podobny meeting w naszych górach spotkałby się z przeogromnym zainteresowaniem. Zainteresowanie w świecie wspinaczkowym „polską, przewieszoną, zmrożoną trawą”, rośnie dzięki artykułowi Wojtka Kurtyki w „Alpinist Magazynie”.

Nasz udział w BMC/MCofS International Winter Climbing Meet 2007 wsparł finansowo i organizacyjnie Polski Związek Alpinizmu, za co serdecznie dziękujemy.

Nowe drogi w Tatrach



Skrajne Solisko lewa część wschodniej ściany (z Doliny Młynickiej). Linia czerwona: Andrzej i Marek Pronobis, Babak Rasolzadeh, 16.03.2007; Linia zielona: Andrzej i Marek Pronobis, 19.05.2007 (wyceny w nawiasie – Andrzej z górna asekuracja). Drogi pokonują różnicę wysokości ok. 150 m.



Skrajne Solisko, środkowe żebro wschodniego filara (z Doliny Młynickiej).

Z wierzchołka Skrajnego Soliska opada do Dol. Młynickiej potężny wschodni filar, który w dolnej części rozdziela się na trzy żebra. Drogi wiodą południową ścianą środkowego żebra i pokonują wysokość ok. 150 m.

Linia czerwona – *Kaskada zacięć* IV A1: Andrzej i Marek Pronobis, 02.08.2007, 6 godz.

Linia żółta: Marek Pronobis, 19.07.2006, V A0, 3 godz.



Skrajne Solisko - lewe żebro wschodniego filara (z Doliny Młynickiej).

(Linia kropkowana pokazuje przebieg grani lewego żebra na tle środkowego). Linia niebieska: Marek Pronobis, 27.07.2007, IV A1, 3 godz. Droga wiodzie południową ścianą czołowego urwiska lewego żebra wschodniego filara i pokonuje wysokość ok. 150 m. Za lewym żebrem widoczna górna część środkowego żebra z drogami opisanymi wyżej.

Fot. i topo: Marek Pronobis

Sezon zimowy 2006/2007 w Tatrach Wysokich

Maciej Ciesielski

Już od kilku lat prowadzę podsumowania naszej zimowej działalności tatrzańskiej i uważam, że nie jest z nią najlepiej. Mimo iż wspina się zimą coraz więcej nas (takie są przynajmniej moje odczucia), to nastąpiła pewna zmiana w doborze celów. Jako propagator i duży zwolennik zimowej wspinaczki klasycznej trochę czuje się temu winny...

W tym sezonie Kazalnica Mięguszo-wiecka, nasza „ściana ścian”, miała tylko trzy przejścia! Niewiele zmienia fakt, że dwa z tych przejść były naprawdę bardzo mocnymi. Wszystkie trzy, jak i te jedyne naprawdę ciekawe (powtórzenie *Siwego Dymu*) z Kotła Kazalnicy były autorstwa doświadczonej garstki tych samych, wspinających się już dobre kilka lat, taterników.

Także długie drogi, jak choćby *Filar Mięgusza* oraz dłuższe drogi na Słowacji były



Ostatniej zimy popularna "Zerwa" świeciła pustkami...

Fot. B. Jankowski



z reguły atakowane przez te same zespoły. Inni wspinacze (niestety muszę się też do nich zaliczyć), skupiali się na małych formach – krótkich, ale bardzo trudnych drogach. Jest to zrozumiałe, kiedy pogoda, warunki, czy też zagrożenie lawinowe nie pozwala na działalność na większej i bardziej odległej ścianie. Zastanówmy się jednak, czy nie dzieje się też tak nawet w dni, kiedy jest „lampa”?

Mam nadzieję, że zostaną dobrze rozumiani, nie chce nikomu dyktować, co ma w górach robić, wspinamy się przecież podobno dla swojej przyjemności. Chciałbym tylko zwrócić uwagę, że pokonanie dużej drogi, często jest bardziej poważnym i wymagającym większego zaangażowania przedsięwzięciem niż pokonanie krótkiej, choć bardzo trudnej linii. Gdy zachęcałem do wspinania zimowo-klasycznego, celem było podniesienie wspinaczkowych umiejętności, co miało pomóc w przeniesieniu tego stylu na największe tatrzańskie ściany. Pokonywanie krótszym trudnych linii jest rzeczą zrozumiałą i słuszną, ale powinno stać się raczej tylko skutecznym treningiem przed większymi ścianami, a nie – przynajmniej moim zdaniem – stawać się celem samym w sobie.

Przejściami, które według mnie ma w sobie to, o co we współczesnym alpinizmie chyba chodzi, czyli przeniesienie zimowego klasycznego wspinania na duże ściany jest pokonanie *Komina Plška* na wschodniej ścianie Rysów (5+/6, OS, 9 godzin) przez Wojciecha Kozuba i Piotra Sztabę. Autorom tego przejścia jeszcze raz serdecznie gratuluje, a nam wszystkim życzę więcej takich przejść w przyszłym sezonie.

Poniżej zamieszczam subiektywne zestawienie tych przejść, które

z minionego zimowego sezonu warto zapamiętać. Kolejność przejść jest mniej lub bardziej przypadkowa:

- **Kazalnica Mięguszowiecka**, *Superdirettissima* VI+, A2: Marcin Szczotka i Robert Rokowski, – I zimowe przejście non stop w ogóle, 17 godz.;

- **Kazalnica Mięguszowiecka**, *Wish you were here* VI+, A3: Stanisław Piecuch i Przemysław Wójcik – II zimowe przejście non stop, 23 godz.;

- **Kocioł Kazalnicy**, *Siwy dym* V+ A2 (po korekcie A2+/3): Stanisław Piecuch i Artur Paszczak – I powtórzenie, 15,5 godz.;

- **Rysy**, wsch. ściana, *Komin Płska* 5+/6: Wojciech Kozub i Piotr Sztaba – prawdopodobnie I przejście w warunkach zimowych, OS 9 godz.

Poza tymi wymienionymi wyżej wspinaczkami warto na pewno jeszcze zwrócić uwagę na w pełni zimowo-klasyczne przejścia, atakowanych już wcześniej w tym stylu następujących dróg:

- *Starek-Uchmański* na Czołówce **Mięguszowieckiego Szczytu Wielkiego**, nowa zimowo-klasyczna propozycja wyceny to 7: Mariusz Nowak i Alfred Sosgórnik;

- *Sprężyna* na **Kotle Kazalnicy**, nowa zimowo-klasyczna propozycja wyceny to 7/7+:

Jan Kuczera i Maciej Ciesielski;

- *Szare Zacięcie* na Czołówce **Mięguszowieckiego Szczytu Wielkiego**, nowa zimowo-klasyczna propozycja wyceny to 7/7+: Paweł Ziolo i Marcin Tasiemski;

- *Psia Krewka* na Czołówce **Mięguszowieckiego Szczytu Wielkiego**, nowa zimowo-klasyczna propozycja wyceny to 7+: Jan Kuczera i Maciej Ciesielski;

- *Ostatni dzwonek* na **Progu dolinki za Mnichem**, nowa zimowo-klasyczna propozycja wyceny to 8-: Michał Król, Bartłomiej Trzcіński i Jacek Ciaś.

Pod koniec sezonu miało miejsce ciekawe przejście, o którym koniecznie trzeba wspomnieć. Chodzi o wspinaczkę Marcina Michałka i Adama Krzystanka. Za cel obrali oni *Filar Ganku* - długą drogę o alpejskim charakterze. Wspinaczka miała miejsce 6 kwietnia i trwała 10,5 godziny. Całość akcji – z i do obozu pod Wysoką, mimo złych warunków śniegowych, zabrała zaledwie 15-16 godz. Najszybszym polskim zimowym przejściem tej słynnej tatrzańskiej drogi, była prawdopodobnie wspinaczka doborowego zespołu w składzie Janusz Gołąb i śp. Grzegorz Skorek, który pokonał tę linię w grudniu 2002 r., w rewelacyjnym czasie 9 1/2 godz.



Widok z Jagnięcego Szczytu

Fot. B. Jankowski

Na południowej ścianie Caraz I

Rafał Zając

W wyjeździe zorganizowanym przez środowisko wrocławskie udział wzięli: Adam Domanasiewicz i Witold Kubik (obaj z Sekcji Grotołazów Wrocław), Bartosz Małek (Grupa Wałbrzysko-Kłodzka GOPR), Tytus Woźniak (Uniwersytecki Klub Alpinistyczny), oraz Mariusz Serda i Rafał Zając (obaj z Wrocławskiego Klubu Wysokogórskiego).

Celem wyjazdu było dokonanie pierwszego polskiego przejścia direttissimi południowej ściany (South Face Direct) mało znanego szczytu Caraz I (6025 m). Jest to droga lodowo-mikstowa z 1979 r autorstwa N. Hellewella i A. Sole'a, o długości 1000 m i wycenie TD+. Według opisu składa się na nią 700 m lodu i ok. 225 m mikstu do 80° oraz ok. 75 m śnieżnej grani wyprowadzającej na szczyt.

Do Limy przylecieliśmy 23 czerwca



Mariusz Serda na wschodniej ścianie.
W dole jezioro Paron. Fot. R. Zając



Południowa ściana Caraz I. Fot. R. Zając

2007 wieczorem, ale do doliny Paron dotarliśmy dopiero 1 lipca z powodu tygodniowego opóźnienia cargo lotniczego z naszym sprzętem. Na początek zamierzaliśmy wejść na Caraz I łatwą drogą; po pierwsze dla aklimatyzacji a po drugie dla rozpoznania drogi zejścia po ewentualnym pokonaniu drogi sportowej.

3 lipca założyliśmy obóz (4800 m) pod wschodnią ścianą Caraz I. Od początku pobytu w dolinie trapiły nas dolegliwości jelitowe, które poważnie nas osłabiły, a nawet czasowo wyeliminowały z akcji Bartka. Niemniej jednak, udało nam się zewrzeć szeregi i 6 lipca przed świtem, w dwóch zespołach trójkowych (Mariusz, Rafał i Tytus oraz Adam, Witek i Jacek Kubryk z zaprzyjaźnionej grupy trekkingowej) weszliśmy we wschodnią ścianę Caraz I. Mimo nominalnie

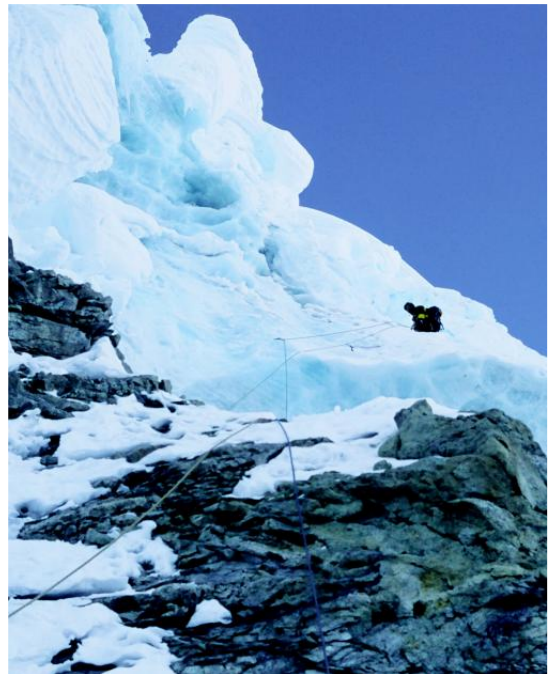
niewielkiej trudności (D) i przewyższenia (900 m) droga okazała się wymagająca, skomplikowana i niebezpieczna ze względu na ilość szczelin i seraków. Zgodnie przyznaliśmy, że nikt z nas nigdy wcześniej nie szedł bardziej „porąbaną” drogą lodowcową. Po przeczekaniu południowego skwaru pod jednym z seraków dotarliśmy na szczyt, a dokładniej w okolicy jego śnieżnego wierzchołka, który okazał się 25-metrową śnieżną czapą odgrózoną od zbocza szczytu potężną poziomą szczeliną. Nie chcąc ryzykować zaważenia tej czapy zadowoliliśmy się zdjęciami przy szczelinie pod wierzchołkiem, na wysokości dokładnie 6000 m wg wskazań GPS, po czym już po ciemku zeszliśmy do obozu dokładnie tą samą drogą.

Po dniu odpoczynku zeszliśmy do zapory przy jeziorze Paron i przy tej okazji musimy zaznaczyć, że bez pomocy wszystkich kolegów z wyprawy sam nie dałbym rady znieść swojego plecaka – tak byłem wycieńczony tą przekłętą biegunką. 9 lipca koledzy pojechali do wsi Caraz uzupełnić prowiant, a następnego dnia Adam, Bartek, Tytus i Wittek podeszli do bazy (4900 m) pod pięknym szczytem Artensoraju (6025 m) w głębi doliny Paron. Następnie 12 lipca przenieśli obóz na lodowiec pod ścianą (5100 m) i następnego dnia Adam z Witkiem podjęli zaawansowaną próbę wejścia na ten szczyt drogą normalną (południowo-wschodnia ściana, trudność D, przewyższenie 700 m). Zostali zmuszeni do odwrotu ok. 100 m pod wierzchołkiem z powodu nagłego opadu deszczu ze śniegiem. Należy dodać, że w dniach od 10 do 13 lipca codziennie po południu padał śnieg, co miało spory wpływ na warunki w ścianach.

Natomiast Mariusz i ja 10 lipca podeszliśmy w górę moreny lodowca pod północną ścianą szczytu Huandoy, skąd po raz pierwszy obejrzelśmy południową ścianę Caraz I – cel naszej wyprawy. Zgodnie z informacjami uzyskanymi od miejscowych przewodników, w tym roku w ścianach było dużo lodu, a w przypadku „naszej” ściany nawet nadprogramowo dużo – w górnej części, tam gdzie są trudności bariery skalno-lodowej zauważyliśmy pasmo seraków i grzybów śnieżnych wyglądających jakby na przewieszane, o których opis drogi nie wspominał. 11 lipca podeszliśmy z Mariuszem do dolinki (4800 m) pod południową ścianą Caraz I, co zabrało nam 7 i pół godziny (jest to zdecydowanie najbardziej uciążliwe podejście w dolinie Paron) i roz-

biliśmy namiot na doskonale gładkiej i poziomej granitowej płycie. Po dniu odpoczynku poszliśmy pod ścianę i zaporęczowaliśmy szczelinę brzeżną, której przejście w przewieszonym sypkim śniegu dostarczyło Mariuszowi niemałych emocji. Ponadto samo dojście do lodowca pod ścianą (ok. 1 godz.) okazało się na tyle skomplikowane, że zdecydowaliśmy się poświęcić kolejny dzień na oznaczenie go kopczykami, bez których niezmiernie trudno byłoby nam trafić pod ścianę po ciemku, zwłaszcza, że na planowaną przez nas noc ataku przypadał nów.

Weszliśmy w ścianę 15 lipca przed świtem i w 12 godzin pokonaliśmy pierwsze 700 m lodu i śniegu o nachyleniu do 75°. Mimo asekuracji lotnej, poruszaliśmy się wolniej niż planowaliśmy, ponieważ cienki lód i sypki śnieg nie dawały możliwości przyzwolonej asekuracji i zakładanie przelotów wymagało mozolnego dokopywania się do skały. Zabiwakowaliśmy na wyrąbanej w lodzie półce u podstawy bariery skalno-lodowej na wysokości ok. 5700 m. Ponieważ na południe od równika słońce nigdy nie pada na południowe ściany, rano długo czekaliśmy na podniesienie się temperatury. Wspinaczkę w barierze skalno-lodowej wznowiliśmy dopiero ok. godz. 10. Najwięcej kłopotów przysporzyła nam wspomniana bariera seraków,



Wspina się Rafał Zajac.

Fot. M. Serda



Artensoraju (6025 m) ponad doliną Paron.

Fot. R. Zając

kóra okazała się faktycznie przewieszona i została przehaczona za pomocą trzech śrub lodowych używanych na przemian. Biorąc pod uwagę ciężar wypakowanych „po alpejsku” plecaków było to całkiem wyťažające zadanie, zwłaszcza dla drugiego. Około 2 godzin straciliśmy też próbując przejść z prawej strony wprost do góry po przysypanych śniegiem płytach (po południu zaczął padać gęsty śnieg), ale opcja ta okazała się „zapychem” bez asekuracji i to delikatnie mówiąc trudnym do wycofania, bo cukrowaty śnieg zapadał się bez ostrzeżenia.

W końcu, trawersem pod płytami w lewo dostaliśmy się pod wyjściową ściankę (V wg UIAA). Jej górna wywieszająca się lekko część, w obliczu nasilającego się opadu śniegu i braku czucia w odmrożonych palcach, została szybko pokonana w stylu „ratuj się kto może”, czyli z ciągnięciem z haków. Potem już tylko 20 m w luźnym pionowym śniegu i byłem na przełęczce pod szczytem (5950 m), gdzie dłuższą chwilę czekałem aż Mariusz wymałpuje po linii z dwoma plecakami, co nieźle dało mu w kość. Z uwagi na późną porę zdecydowaliśmy się tam zabiwakować i dopiero rano ruszyliśmy w dół znaną już sobie drogą wiodącą wschodnią ścianą Caraz I. Po zejściu z lodowca przekroczyliśmy przełęcz we

wschodnim ramieniu opadającym z Caraz I, dzikim żłebem zesliśmy na południową stronę szczytu i długim trawersem po morenach dostaliśmy się do naszego namiotu około północy.

Następnego dnia zwinęliśmy obóz, i z pomocą Bartka i Tytusa, którzy do nas podeszli, zesliśmy w padającym śniegu do zapory na jeziorze Paron. Jeszcze tej samej nocy zjechaliśmy do Huaraz. Po odpoczynku i obowiązkowym świętowaniu w renomowanej dyskotecie „Tambo” pojechaliśmy do Limy i 22 lipca wieczorem byliśmy już w Polsce!

Na koniec warto dodać, że w przeciwieństwie do innych ścian w dolinie Paron południowa ściana Caraz I nie jest pokonywana często, być może z powodu oddalenia (uciążliwe i niełatwe do odnalezienia dojście) i problematycznego wycofu (trudne zjazdy). Miejscowi przewodnicy nie mieli żadnych informacji o ścianie, a członek dyrekcji biura przewodników w Huaraz (Casa de Guías) myślał wręcz, że przeszliśmy nową drogę, więc przejście dało nam tym większą satysfakcję. Oczywiście w dolinie Paron jest olbrzymie pole do popisu dla każdego wspinacza, włączając sporo miejsca na nowe drogi, a biorąc pod uwagę całe Białe Kordyliery możliwości te wydają się niewyczerpane.

Morza Południowe

Marek Raganowicz



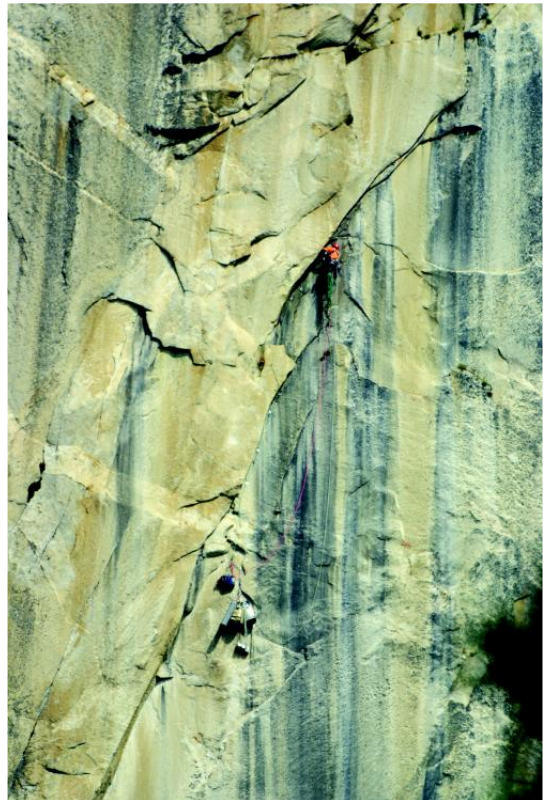
O wyborze *South Seas* na El Capie zdecydowała jej długość, trudności i wywieszenie. Wszystkiego było wystarczająco dużo, żebym nie mógł opędzić się od myśli o wspinaniu na tej drodze już od ubiegłej zimy. Niemal zaraz

po sylwestrowych szaleństwach przywitałem się z ciężarami w siłowni, a każde zimowe wspinanie kończyłem marzeniami o tym, jak to będzie w Dolinie. Rozrysowałem drogę, przygotowałem zestaw sprzętu i zebrałem trochę informacji. Jednocześnie nie chciałem wiedzieć zbyt dużo, bo nieznane jest ciekawsze. Droga miała niewiele przejść solowych (5) i żadnego samotnego bez poręczowania. W większości jest robiona przez zespoły trzyosobowe, z poręczowaniem pierwszych 3-4 wyciągów ze względu na wytężający charakter, trudne holowanie, duże nagromadzenie trudności i wiele trawersów.

South Seas wychodzi z głębokiej nizy nazywanej Alkowa, rozwiązując dziesięcioma samodzielnymi wyciągami bardzo stromą (wywieszoną) część El Capitana. Później łączy się z najtrudniejszymi odcinkami *Pacific Ocean Wall*, co w efekcie daje 24 wyciągi solidnej hakówki z paroma wahadłami.

Koniecznym chciałem spróbować zrobić tę drogę bez użycia młotka, ale niestety już na pierwszym wyciągu musiałem poddać się, wbijając trzy haki. Później pozostało mi tylko maksymalne ograniczenie użycia młotka i w efekcie osadziłem na całej drodze około 15 haków i 3 headów. Interesującym może być to, że wszystkie odcinki C4 i A4 na całej drodze przeszedłem clean, a haki wbijałem na odcinkach A2/A3, a nawet na A1. Niestety używałem też tzw. „wędkę” do sięgania w dużych odstępach nitów na 2., 5. i 6. wyciągu *South Seas* oraz na 16. i 22. wyciągu *Pacific Ocean Wall*, gdzie również przepinałem się na drabinie starych headów (około 3 razy). Chwytnąjąc za wędkę uznałem, że odległości między

rivetami są poza moim zasięgiem, chociaż niektórzy mogą twierdzić, że jest to tylko kwestia techniki. Jeśli chodzi o heady, to wolałem przepiąć się na starych plombach zamiast zaśmiecać rysy nowymi główkami, które w większości pozostają w szczelinach na stale. Sporo trudności sprawiło mi zrobienie wahadła *Rubber Man Band*. W końcu znalazłem własny sposób na dojście do zacięcia, huśtając się na archaicznym nicie i systematycznie przecierając na kancie koszulkę liny przy każdej kolejnej próbie. W rysie wyjściowej nie unikałem odpadnięcia na starym headzie, ale na szczęście nie zatrzymałem się przed wahadłem tylko tuż za nim z 4-ma przelotami wpiętymi do liny i gotowymi do powtórnego osadzenia. Kluczowe wyciągi na całej drodze należą do trudnych i wymagają zarówno hakowych tricków, jak i właściwego sprzętu, jeśli nie chcemy nadmiernie używać młotka. Najtrudniejsze miejsca wymagają



Odcinek A3 pod koniec drogi *South Seas*

Fot. Tom Evans



Pasaż A4 na *Pacific Ocean Wall*

Fot. Tom Evans

umiejętności haczenia w rozwierających się pod obciążeniem flake'ach, a jedno z nich dodatkowo okraszone jest trickową sekwencją na skyhookach.

Dość surowe założenia stylistyczne tego projektu narzuciły mi konieczność zmierzenia się z problemem wielu biwaków w ścianie (15) i holowania znacznej ilości sprzętu, ekwipunku, żywności i wody, już od pierwszego wyciągu drogi. Hardości w tradycyjnym przeciąganiu worów wystarczyło mi jedynie na dwa pierwsze wyciągi. Po prawie czterogodzinnym zmaganiu się z pękatymi w systemie 3:1, trzeciego dnia podzieliłem bagaż, wyciągając jedną część na przeciwwagę, a drugą na 1:1. Szło mi szybciej, ale dopiero po połączeniu z *Pacific Ocean Wall* (na 11. wyciągu) mogłem zredukować operacje do jednego holowania. Zaraz też tempo wspinania wzrosło i nawet po przeczekaniu deszczowego dnia udało mi się zrobić 4 wyciągi kończąc o dziewiątej wieczorem. Biwaki w ścianie miałem komfortowe dzięki używaniu portaledge'a, o którym rok wcześniej na *Zodiaku* marzyłem, ledwie drzemiąc w gnieździe nieto-

perza. W czasie deszczowego dnia i następujących dwóch zadziwiająco zimnych nocy, niezwykle praktyczny okazał się kaptur do portaledge'a. Doświadczenie wielu dni samotnie spędzonych w ścianie jest niezwykle. Od dawna mnie to fascynowało i pociągało, mając kluczowy wpływ na wybór drogi i taktyki przejścia.

W towarzyskim życiu Doliny nieskrywaną satysfakcję przynosiło mi to, że lokalni mistrzowie z zainteresowaniem wypytywali o Tatry i wykazywali dobrą znajomość polskich przejść na El Capie, wspominając imiona naszych miłośników Wielkiego Kamienia. Nasza wspinaczkowa nacja ma opinie twarde i napierające z wyjątkową zajadłością zawodników. Nawet nasze jedyńki, nazywane „polish beaks”, zajmują kluczowe miejsca w niektórych opowieściach ze Ściany Ścian. Warto pielęgnować te opinie, bo ma ona szczególną wartość w zderzeniu z ogromną ilością przejść w zupełnie rozpaczliwym stylu, kiedy zespoły próbują robić drogi niemal za wszelką cenę. Oczywiście większość wspinają się na *Nosie* i *Zodiaku*, więc właśnie tam



Autor na jednym z wyciągów *South Seas*

Fot. Tom Evans

głównie można zaobserwować całą paletę stylizacyjnych sztuczek. Większość z nich opiera się na stosowaniu różnych form poręczowania. Na pierwszy plan wysuwa się rozwieszanie lin na jak największej ilości wyciągów nawet przez 3-osobowe zespoły. Oczywiście, w ramach tej stosunkowo prostej operacji taktycznej jest spore pole do rozwinięcia inwencji twórczej i tak można, na przykład, w celu przełamania impasu szturmowego, wymieniać partnerów lub udać się na parodniowy, zasłużony odpoczynek konieczny do odpowiedniej koncentracji i zebrania sił przed ostatecznym atakiem. Niektórzy nawet korzystają z cudzych poręczy, bo przecież to prawie to samo jak wpięcie do starego haka. Bardziej wyrafinowane chwytty obejmują korzystanie z przedłużacza o rozmiarach podobnych do używanych przez mazurskich miłośników wędkowania na muchę, czy kontrolowane wycofy. Na końcu należy wspomnieć o najbardziej brutalnej metodzie, którą jest dodatkowe nitowanie stosowane przez tych, którzy nie uznają ryzyka za część trudności drogi, lub po prostu nie potrafią inaczej. Stosowanie niektórych konfiguracji takich zabiegów stawia pod znakiem zapytania sens wpisywania tak zro-

bionej drogi do własnego wykazu przejść, bo niektóre z nich (np. wędka lub nitowanie), mimo stosowania nawet na końcowych wyciągach, należałoby uznać bardziej za formę wycofu niż uchybienie stylistyczne.

El Capitan, po wielu latach intensywnej eksploracji, ale również ze względu na łatwość dostępu, stał się rodzajem wielkościanowego, hakowego panelu. Zarówno relatywna stabilność pogody jak i ogólne zagospodarowanie rejonu wiele ułatwiają w porównaniu z innymi górami. Poprowadzone tam drogi zdecydowanie należą do najtrudniejszych technicznie linii hakowych na świecie i co bardzo ważne, o niepodważalnej wycenie dodatkowo weryfikowanej przez kolejne powtórzenia. Warto więc zadbać o styl wspinania, nie ulegając pokusie wprowadzania taktyki himalaizmu obłężniczego do wspinania na El Capie. Zresztą dotyczy to również innych form wspinaczkowej aktywności. Można przecież zachować dumę i radość z własnych możliwości, a jednocześnie szacunek dla „niemożliwego”, widząc w nim wyzwanie.

www.reganclimbing.com

Alaskańskie peregrynacje

Rafał Sławiński

Pierre Darbellay i ja wróciliśmy niedawno z dwutygodniowego pobytu w górach Alaski. Naszym głównym celem był północny filar Mount Hunter, ale prawdę mówiąc, byliśmy gotowi i chętni zrobić cokolwiek, co nam się spodoba.

Po kilku dniach opadów śniegu, niebo w końcu przejaśniło się wieczorem 9 czerwca. Wychodząc z bazy około godz. 19 podeszliśmy na nartach w górę południowo-wschodnią odnogą lodowca Kahiltna i dostrzegliśmy estetyczny kuluar tuż na prawo od drogi zachodnią ścianą Kahiltna Queen. Rezultatem naszej wycieczki stała się droga *Journey to the End of the Night*, WI4+ R, 450 m. Przeszliśmy bez asekuracji szczelinę brzezną i leżące wyżej pole firnowe. W miejscu, z którego wybiegał w górę nasz kuluar, związaliśmy się liną. Nie było to korzystne dla Pierre'a, ponieważ musiał prowadzić wyciąg poprzez kurtynę niestabilnych „świeczników” lodowych, za to ja poczułem komfort wspinaczki na drugiego w takim terenie. Wyżej wspinaliśmy się równocześnie w górę wą-

ską rynną po śniegu i cienkim lodzie, prowadzącą do zalodzonego zacięcia.

Perfekcyjna mikstowa wspinaczka z doskonałą asekuracją, po której, niestety, nastąpiło straszne kopanie się w śniegu bez dna, doprowadziła nas na grań. W granatowym świetle alaskańskiego zmierzchu, zobaczyliśmy w dole lodowiec Tokositna i przeciwległej drugiej stronie Mount Hunter. Niestety Mount Huntington był ukryty za grania.

Bazę opuściliśmy jeszcze kilka razy, wliczając w to próbę na *Moonflower Butress*. Będąc leniwymi – obydwaj bardzo nie lubimy nosić ciężkich plecaków – zdecydowaliśmy się potraktować *Moonflower* jako drogę jednodniową. Błogosławiąc całodobowy alaskański dzień, zostawiliśmy swoje narty tuż po południu 14 czerwca i wspinaliśmy się do godz. 20, osiągając miejsce zwane *Mascioli's mushroom*, skąd tylko jeden wyciąg dzielił



Góry Ameryki



The North Buttress na Mount Hunter

Fot. R. Sławiński

nie jest tym, czego oczekiwaliśmy i zrobiliśmy zwrot w dół. Po tuzinie zjazdów znaleźliśmy się przy swoich nartach, rozczarowani, lecz także szczęśliwi, że dana nam była przynajmniej próba walki ze ścianą.

Niewiele można więcej dodać. Spędziliśmy następny dzień w bazie, wylegając się pod bezchmurnym niebem (co udowadnia, że jeśli poczekaasz wystarczająco długo, możesz mieć na Alasce więcej niż 24 godziny ładnej pogody). Aby wykorzystać wysokie ciśnienie na jeszcze jedną wspinaczkę, następnego dnia, już o godz. 3 nad ranem zmierzaliśmy w kierunku północnego kuluaru na *Mini Moonflower*. Monotonna, prawie hipnotyczna, równoczesna wspinaczka dolnym stokiem lodowym doprowadziła do kluczowego przeżycia i górnego kuluaru. Oparliśmy się pokusie odpoczynku ponad lodową, najtrudniejszą



Pierre walczy z podmokłym lodem na Dziobie

Fot. R. Sławiński

nas od podstawy *The Shaft*. Do tego punktu wspinaczka była świetną zabawą – wąskie lodowe rynny między ścianami z doskonałego granitu, połączone efektownymi trawersami – tym przyjemniejszą, że nasze plecaki nie ważyły wiele. Ale zgniły, podmokły lód w Bliźniaczych Rynnach (Twin Runnels) i przede wszystkim w okolicy Dziobu (*The Prow*), przypominał o końcu sezonu. W miarę zbliżania się do naszego apogeum, coraz częściej musieliśmy stosować dry-tooling wśród pozostałości tego, co było kiedyś lodem. W końcu, postanowiliśmy, że breja i lejąca się wszędzie woda,



Rynna *McNerthey's Dagger*

Fot. P. Darbellay

partią drogi, przedarliśmy się przez końcowy nawis na wierzchołek (jeśli tak można nazwać garb w północno-wschodniej grani Mount Hunter). Zrobiliśmy fotkę spektakularnego widoku Mount Huntington i pobiegliśmy w dół. Musieliśmy zdażyć na samolot.

Tłumaczył J. Kurczab na podstawie strony <http://members.shaw.ca/raphael2/index.html>

Rosjanie na zachodniej ścianie K2

Duża narodowa rosyjska wyprawa obrała sobie za cel środek zachodniej ściany K2. Była ona od lat uważana za jeden z największych problemów himalaizmu. Linia planowanej drogi prowadziła środkiem skalnego



Podejście pod bastion. Fot. www.k2-8611.ru

monolitu ściany, kształtem przypominającego kolosalną gruszkę. Przypomnijmy, że zachodnia ściana K2 stanowiła również cel polsko-słowackiej wyprawy, w której uczestniczył Piotr Morawski. Jednak plan Morawskiego, Hamora i Kopolda był inny – zamierzali oni w stylu alpejskim wchodzić wielkim żlebem zwanym Bananem, na lewo od monolitu.

Kierownikiem wyprawy był Wiktor Kozłowski, który wiosną 2004 r. prowadził zakończoną sukcesem wyprawę na północną ścianę Everestu, trenerem Nikołaj Czernyj a w sumie wyprawa liczyła 24 członków. Pozostali to: Aleksiej Bołotow, Siergiej Byczkowski (lekarz), Witalij Gorelik, Witalij Iwanow, Genadij Kirijewski, Dmitrij Komarow, Aleksander Korobkow, Andriej Marijew, Siergiej Piencow, Wiktor Pleskaczewski (szef komitetu organizacyjnego), Wadim Popowicz, Gleb Sokołow, Paweł Szabalin, Walerij Szamałow, Nikołaj Totmianin, Iljas Tuchwatullin, Jewgienij Winogradski i Wiktor Wołodin. Ekipę telewizyjno-fograficzną tworzyli: Igor Borysenko, Władimir Koczurow, Władimir Kupcow i Oleg Uszakow. Większość uczestników rekrutowała się ze zwycięskich wypraw na północne ściany Janu i Everestu.

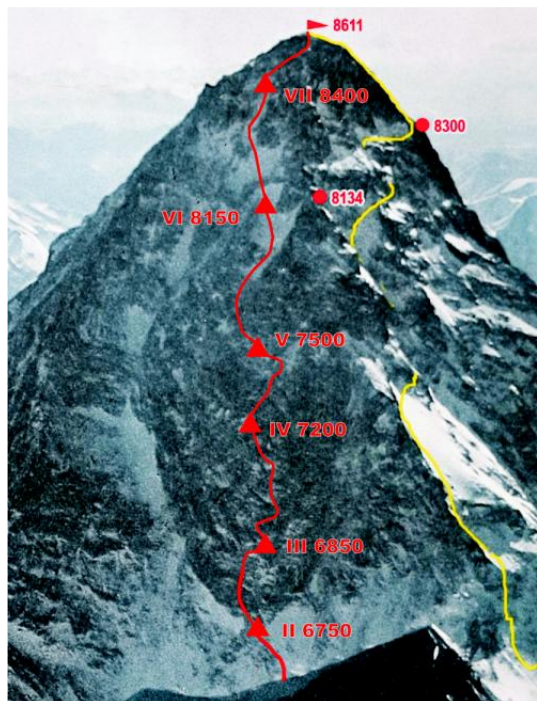
Wyprawa dotarła do bazy głównej (5000 m) na lodowcu Godwin Austen w dniu 6 czerwca. W 5 dni później została założona baza wysunięta na lodowcu Savoia na wys.

5600 m. Obóz I (6000 m) stanął 14 czerwca (22 czerwca przeniesiono go o 200 m wyżej), a obóz II rozbito w dniu 20 czerwca, u podstawy skalnego bastionu zachodniej ściany, na wysokości 6750 m.

Szczególnie strome i trudne okazały się dolne partie bastionu. Najtrudniejszy przewieszony wyciąg pokonał Korobkow. Z kolei, prowadzący na innym wyciągu Bołotow, „przeleciał się” 4 metry wskutek wypadnięcia frienda.

Przed załamaniem pogody, w połowie trzeciej dekady czerwca, wyprawa pokonała dolne partie bastionu i 25 czerwca dotarła do wysokości 6850 m, gdzie postawiono małe namioty obozu III. Mimo złej pogody trwało poręczowanie ściany powyżej tego obozu.

30 czerwca pogoda się poprawiła, opad śniegu ustał, zachmurzenie zanikało. Grupa Szabalina wspięła się do obozu III, rozszerzyła półkę nieco poniżej i umieściła tam wygodny duży namiot, zdolny pomieścić nawet 6 osób.



Przebieg rosyjskiej drogi na zach. ścianie K2. Kolorem żółtym zaznaczono drogę pakistańsko-japońską na pd.-zach. ścianie.

Fot. www.k2.ru Topo: J. Kurczab



Na poręczówkach.

Fot. www.k2-8611.ru

1 lipca Marijew i Tuchwatullin pokonali kolejne 4 wyciągi i znaleźli miejsce pod obóz, a następnego dnia Szabalin i Popowicz rozbili tam małe namioty obozu na obóz IV (7200 m). 4 lipca został tam ustawiony większy, czteroosobowy namiot

Niezwykle strome skały bastionu Rosjanie porównywali z kluczowymi partiami północnej ściany Jannu. Skała była lita, obfitowała w wiele długich pionowych rys i zacień przykrytych lodem, które można określić jako dobry poligon drytoolingu. Wzorem poprzednich wypraw, Rosjanie działali systemem obłączniczym, poręczując skalne partie drogi. Nikt z uczestników nie używał tlenu z butli, nawet w najwyższych partiach.

W pierwszej dekadzie lipca, mimo niesprzyjającej pogody, wyprawa poczyniła znaczące postępy. Jednocześnie zdobywano nowy teren i transportowano z dołu zaopatrzenie. Od 12 do 17 lipca trwała niepogoda uniemożliwiająca dalszy postęp. Na dodatek trzeba było przeprowadzić akcję ratowniczą. Jeden ze wspinaczy Witalij Iwanow podczas wycofywania się z obozu 4 zaczął zdradzać objawy choroby wysokościowej i jego stan stale się pogarszał. Chory został przetransportowany do bazy, a 18 lipca wezwany helikopter przewoził go do szpitala w Skardu. W 2 dni później Iwanow już znalazł się w moskiewskiej klinice.

22 lipca alpiniści założyli obóz V na wysokości 7500 m i powyżej niego zaporęczowali jeszcze kilkadziesiąt metrów ściany. Przed nimi wznosiły się kolejne przewieszane skały, ale koniec najtrudniejszej partii bastionu był już bliski...

4 sierpnia nagle zachorował Aleksander Korobkow, jeden z tych, którzy położyli największe zasługi przy pokonywaniu bastionu. Stwierdzono u niego zakrzepowe zapalenie żył. Podobnie jak w przypadku Iwanowa sprowadzanie go do bazy przebiegło sprawnie. Na dalszy transport musiał jednak czekać jeszcze 3 dni – niepogoda uniemożliwiła przylot helikoptera.

9 sierpnia, po 4-dniowym przeczekiwaniu niepogody w obozie V (bez tlenu na wysokości 7500 m!), Rosjanie wystartowali do ostatecznego ataku. Zespół szturmowy tworzyli: Aleksiej Bołotow, Gienadij Kirijewski i Nikołaj Totmianin. Wprawdzie po przejściu 12 zaporęczowanych wcześniej odcinków wyszli oni na śnieżne stoki wiodące w kierunku wierzchołka, to jednak 1000-metrowa różnica poziomów, dzieląca ich od szczytu, zmusiła trójkę do założenia ostatniego – szóstego obozu na wysokości 8150 m.

10 sierpnia, o godz. 5 rano czasu lokalnego, Bołotow, Kirijewski i Totmianin opuścili obóz VI i rozpoczęli końcowy szturm. Pogoda była wspaniała. Na wysokości około 8500 m natrafili jednak na trudny pas skał. Znalezienie obejścia nie powiodło się, a pokonanie go na wprost okazało się niemożliwe bez odpowiedniego sprzętu. We znaki zaczęło się dawać zmęczenie po kilkusetmetrowym torowaniu w głębokim śniegu, objawiły się też skutki długotrwałego przebywania w obozie V. O godz. 14 grupa szturmowa zaczęła wycofywać się.

Ponowny atak ruszył po ok. tygodniu. Pogoda była dobra, ale powyżej 7000 m wspinaczkę utrudniały porywy silnego wiatru. 19 sierpnia czteroosobowy zespół w składzie: Szabalin, Marijew, Tuchwatullin i Popowicz dotarł do szturmowego obozu VI (8150 m), odkopał namiot i przetarł szlak do poziomej bariery skalnej.

Jednocześnie w górę przesuwali się pozostałe zespoły: Wołodin, Szamało i Piencow, oraz Sokołow, Winogradski i Gorielik doszli do obozu V (7500 m), zaś Totmianin, Bołotow i Kirijewski – do obozu IV (7200 m).

Po noclegu spędzonym w „szóstce”, 20 sierpnia o godzinie 6, czwórka Szabalina wyruszyła w górę, jednak po godzinie wspinaczki była zmuszona zawrócić do obozu,

gdyż nad wierzchołkiem K2 utrzymywała się soczewkowata czapa chmur, widoczność nie przekraczała 50 m, a porywy wiatru były bardzo silne. Czwórka postanowiła oczekiwać na poprawę pogody w obozie VI. Pozostałe zespoły wyruszyły odpowiednio do obozu VI i V, z wyjątkiem chorego Szamała, który zawrócił za radą lekarza (jest nim Winogradski). Prognoza pogody, dostarczana wyprawie przez znanego pakistańskiego meteorologa Mohammeda Hanifa, była dobra i zdaniem kierownika wyprawy Wiktora Kozłowa, można było kontynuować szturm.

Szabalin, Marijew, Tuchwatullin i Popowicz podeszli na wysokość 8400 m i założyli obóz VII. Jednocześnie Sokołow, Winogradski, Wołodin i Gorelik dotarli do obozu VI, a Totmianin, Bołotow i Kirijewski – do obozu V.

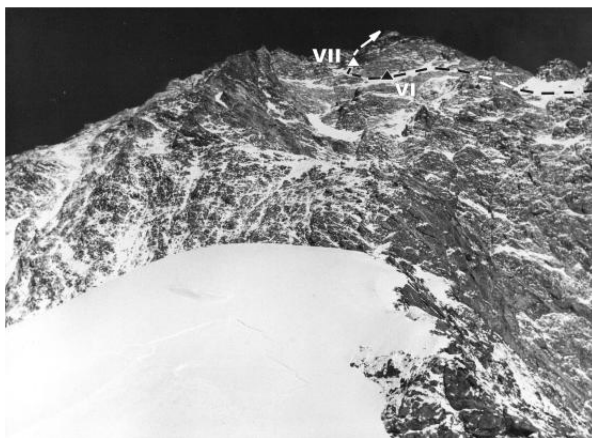
Na szczycie!

Rankiem 21 sierpnia na wysokości 8400 m pogoda była nie najlepsza: chmury pokrywały wierzchołek i wiał wiatr z prędkością około 50 km/godz. Grupa prowadząca czekała na poprawę pogody w obozie VII. Czwórka z obozu VI początkowo wyszła w górę, jednak wkrótce zawróciła do namiotu. Około godziny 9 Andriej Marijew i Wadim Popowicz wyszli z obozu VII (8400 m), w zasadzie tylko na rekonesans. Gdy okazało się, że warunki pozwalają na dalszą wspinaczkę, kontynuowali aż do wierzchołka. O godz. 16 szczęśliwi zdobywcy byli już z powrotem w obozie VII i jeszcze tego samego dnia zeszli do „szóstki”.

Jeszcze pół godziny przed ich wejściem na wierzchołek, kierownik wyprawy Wiktor Kozłow donosił:

„Wierzchołek skrył się w chmurach, nawet nad bazą nie ma czystego nieba. Powyżej 8000 m pada śnieg, wiatr nie ustaje. Obiecywano nam okno pogodowe, a tymczasem otrzymaliśmy furtkę, w którą jeszcze trzeba się wpassować, a przede wszystkim – szczęśliwie powrócić!”

Do szturm na wierzchołek ruszyły teraz pozostałe zespoły. 22 sierpnia o godz. 10.45 szczyt K2 osiągnęli Aleksiej Bołotow i Nikołaj Totmianin. W 20 min. później na wierzchołek dotarł Gleb Sokołow a o 11.50 – Jewgienij Winogradski. W godzinę po tym ostatnim – Wiktor Wołodin, Gienadij Kirijewski i Witalij Gorelik. O godz. 15 do grona zdo-



Górne partie zach. ściany z obozu III (6750 m) na pn.-zach. grani (Polsko-meksykańska wyprawa w 1982 r.). Fot. i topo J. Kurczab

bywców dołączyli Paweł Szabalin i Iłjas Tuchwatullin.

Sukces był zupełny – na wierzchołku najtrudniejszego ośmiotysięcznika, po przejściu nowej, znacznie trudniejszej od wszystkich innych dróg, stanęło 11 członków wyprawy Kozłowa – prawie trzy czwarte wszystkich uczestniczących w akcji górskiej. Nie weszło na szczyt tylko czterech chorych i jeden, który musiał eskortować chorego do szpitala. Skuteczność doprawdy wyjątkowa!

Gdy w 1982 r. oglądaliśmy z bliska bastion zachodniej ściany, byliśmy pod wrażeniem tego niezwykłego monolitu i określaliśmy go mianem problemu XXI wieku. I rzeczywiście, trzeba było nadejścia nowego stulecia, by problem rozwiązać. Niektórzy zapewne będą wybrzydzać, że ścianę pokonano w stylu obłądniczym. Ale któż dziś poważnie myśli o alpejskim stylu na parutysięcznej, skrajnie trudnej skalnej ścianie wysokiego ośmiotysięcznika? To wydaje się być problemem na miarę XXII wieku. Medycyna musi definitywnie opanować przeciwdziałanie chorobie wysokościowej, by w „strefie śmierci” można było dłużej przebywać bez tlenu. Trzeba wynaleźć nowe rodzaje sprzętu biwakowego i ubrania, by wspinacz był w znacznie większym stopniu uniezależniony od warunków terenowych i atmosferycznych. Historia pokazuje, że alpinistom brakuje cierpliwości, by czekać na nowe zdobycze. A jeśli się pojawiają, to czy nie zostaną określone jako nowe sztuczne ułatwienia...?

Janusz Kurczab

Alpinus Nanga Parbat 2007

Kinga Baranowska



Cała wyprawa na Nanga Parbat (8125 m) zamknęła się w miesiącu. Wyleciałam z Polski 21 czerwca, wróciłam 25 lipca. Przed Nangą udało mi się też zdobyć jeszcze Mount McKinley na Alasce, najwyższy szczyt Ameryki Północnej.

Na Nanga Parbat od strony doliny Diamir, działaliśmy w trzech odrębnych, niezależnych zespołach: Piotr Morawski (Alpinus Expedition Team), Peter Hamor i Dodo Kold realizowali własny plan, jednym słowem spieszyli się by jak najszybciej przenieść się pod K2; ja i Gorri (Roberto Rojo) z Hiszpanii – nam również zależało na szybkim wejściu, choć zupełnie z innych powodów; oraz trójka, a następnie już tylko dwójka Słowaków, z którymi bardzo się polubiliśmy, a nawet stanęliśmy tego samego dnia na szczycie.

Razem pod Nangą było pięć wypraw z całego świata. Szczerze mówić myśleliśmy, że będzie nas jeszcze mniej. Oprócz naszej grupy polsko-słowacko-baskijskiej, pod Nangą przyjechały dwie wyprawy z Chile (najwyraź-

niej nie mogli być jedną ekspedycją), grupa z Białorusi oraz dwójka Francuzów. Tak więc – niezła mieszanka, szczególnie mentalna.

W bazie pojawiliśmy się 26 czerwca i z miejsca przystąpiliśmy do działania; już następnego dnia wychodzimy do góry z zamiarem złożenia depozytu. Kiedy policzę sobie dni spędzone w bazie, to faktycznie nie było ich zbyt wiele. Wykorzystywaliśmy każde nadarzające się okno pogodowe. Sam pobyt pod Nangą zajął nam około 3 tygodnie. Nawet nie zdążyliśmy wypić całego alkoholu przywiezionego ze sobą...

Nie będę opisywać jak przebiegała aklimatyzacja i zakładanie obozów, powiem tylko, że zdecydowaliśmy się z Gorrim, z racji małego 2-osobowego zespołu, nie zakładać ich zbyt wiele. Przenosiliśmy jeden i ten sam

niemiot wyżej, co skutkowało potem chociażby tym, że trzeba było pokonać 2 odcinki pomiędzy obozami naraz (ok. 1800 metrów), bo nie było gdzie się przespacerować. Woleliśmy jednak takie rozwiązanie, niż dzwiganie kolejnych kilogramów.

Podobnie działali Piotrowie i Dodo – czyli jak najmniej wynoszenia ciężarów i jak najszybsze zdobycie szczytu. Było to naszym zaskoczeniem dla Chilijczyków, którzy mieli zupełnie inny styl i pomysł na tę górę. Była to ich pierwsza wyprawa na



Ściana Diamir widziana z bazy na 4100 m.

Fot. K. Baranowska



Dodo Kopold na Skałach Kinshofera. Arch. D. Kopold

ten szczyt i jeszcze za- den Chilijczyk wcześniej Nangi Parbat nie zdobył. Z bazy wszystkim zarządzał kierownik, który miał ostatnie słowo, do tego stopnia, że kiedy umówiliśmy się z trzema

Chilijczykami

na atak szczytowy, w ostatniej chwili dostali zakaz wyjścia na wierzchołek (!) To nie oni byli „przeznaczeni” do roli pierwszych zdobywców Nangi...

Chilijczycy patrzyli na naszą grupę z podejrzliwością. Zero kierownika w naszym teamie, który chociażby ustalał wyjścia, jakieś dziewczę, które skrzyknęło się z Baskiem przez internet by zdobywać Nangę Parbat..., co to jest??? Stanowczo nie pasowałam do ich wizerunku zdobywców i bohaterów narodowych.

Trzeba jednak grupie Chilijczyków oddać pewien honor. Napracowali się na tej górze potwornie. Były osoby, które przechodziły skały Kinshoffera (najtrudniejsze miejsce na



Peter, Piotr i Dodo po zejściu ze szczytu

Fot. K. Baranowska

tej górze 4-6, A0) po 8-10 razy. Założyli na Nandze sporo poręczówek, czasem nawet w miejscach gdzie nie było to zupełnie potrzebne. Wynieśli w górę mnóstwo sprzętu. Podejrzewaliśmy, że to wszystko dlatego, iż całe Chile patrzy na ich poczynania. Chcieli tę górę zdobyć za wszelką cenę, a przede wszystkim bezpiecznie. Staraliśmy się nie używać w ogóle ich lin, wspinając się pod górę. Jednak schodząc w dół, szczególnie z ciężkimi plecakami, każdy z nas z ulgą wpiął lonżę do poręczówki, czy też przyrząd zjazdowy w pionowych skałach Kinshoffera. Na Nanga Parbat jest gdzie spadać, w razie omsknięcia nogi.

Smutne jednak było to, że wspina- cze, którzy mogliby spokojnie wejść na szczyt, bo mieli siły, predyspozycje itd. nie mogli tego zrobić, bo zostali „wytypowani” do innych zadań np. czekania z gorącą herbatą na powracających ze szczytu, albo po prostu do przygotowania drogi pozostałym. Dla mojego pokole- nia, które zna tego typu model zdo- bywania góry tylko z książek – w końcu Polacy też kiedyś w ten spo- sób działali w górach wysokich – by- ło to zupełnie nowe doświadczenie. Dla mnie, powiem szczerze, był to przygnębiający widok, kiedy widzia- łam faceta ze łzami w oczach, który nie dostał „swojej szansy” wejścia na szczyt, bo wyprawa została już ofi- cjalnie zakończona.

A jak było z naszym wej- ściem? Tak jak wspominałam – ja działałam razem z Gorrin , Piotrowie i Dodo stanowili oddzielny zespół,



Na szczycie Nanga Parbat.

Arch. K. Baranowska

więc nasze drogi nie stykały się zbyt często. Ostatnio widziałam chłopaków... w obozie IV na wysokości 7200 m. Potem przenieśli się pod K2.

Chłopcy (Piotrowie i Dodo) próbowali zaatakować szczyt już 7 lipca. Była to dość odważna decyzja, gdyż postawili wszystko na jedną kartę i na atak wprost z obozu III. Niestety, plan się nie powiódł, zatrzymał ich głęboki śnieg w drodze do szczytu. Pamiętam, że kilka osób z niepokojem w głosie pytało się mnie o postępy moich kolegów. Ze spokojem odpowiadałam: „Dziś wieczorem będą w bazie. Albo ze szczytem, albo bez. Na pewno nie będą zbędnie ryzykować”. Moje słowa się potwierdziły – chłopaki podjęli słuszną decyzję o odwołaniu i wieczorem spotkaliśmy się w obozie III, gdzie na nich czekałam.

Następne wyjście do góry zaowocowało zdobyciem szczytu. Chłopcy zdobyli go 15 lipca, ja zaś wraz z Gorrin – trzy dni później, czyli 18 lipca br. Wyszliśmy z bazy w niezbyt

dobrej pogodzie, licząc na okno pogodowe, które nam pozwoli „wyskoczyć” na szczyt. Tak łatwo oczywiście nie było, ale chcieliśmy być „tuż obok” w razie pojawienia się jakiegokolwiek przejaśnienia. Nasz trud został wynagrodzony. Mimo, że jedzenie się skończyło, chłopcy wchodzili na szczyt w potwornym zimnie, ja z Gorrin w nocy zawracałam i wychodziłam ponownie w noc następną, w drodze do szczytu ściagałam buty, raki i próbowałam się nie odmrozić..., mimo wszystko weszliśmy.

Góra dała nam trochę na kość i myślałam, że trzeba ją doceniać i szanować. W końcu ściana Diamir na Nanga Parbat ma jedną z największych deniwelacji na Ziemi. Ostatnie polskie wejście na ten piękny szczyt miało miejsce jedenaście lat temu. Mimo to, nasze tegoroczne wejście, moje i Piotra, dało nam sporo satysfakcji i wypełniło głowę nowymi planami...

Dwa style pod K7

Silna belgijsko-polska wyprawa, składająca się z braci Nicolasa i Oliviera Favresse, Seana Villanueva (wszyscy z Belgii) oraz Adama Pustelnika, działała ponad miesiąc w dolinie Charakusa (Karakorum, Masherbrum Mountains). Stawiali sobie za cel wprowadzić nowe drogi na pięknych granitowych iglicach otaczających dolinę. I to im się udało.

Na pierwszy ogień poszedł niezdobyty filar szczytu 6615m w zachodnim grzbiecie K7. Belgowie i Pustelnik stawili czoło 1000-

metrowej ścianie w stylu bigwallowym, przenosząc portaledge i ciągnąc ładunki. Zespół spędził na wspinaczce 16 dni, walcząc również z niepogodą i opadami śniegu, które ostatecznie zatrzymały ich na końcu skalnego filaru. Stąd jeszcze

200 m ośnieżonej grani biegło ku szczytowi. Spróbowali przeczekać złą pogodę, ale ostatecznie zostali zmuszeni zakończyć drogę w tym miejscu i zejść do dołu. Dla drogi wybrali nazwę *Badal*, co w języku urdu znaczy „częściowo zachmurzona”.

Następnie alpinisci odpoczywali kilka dni w bazie, zbierając siły na jeszcze jedną wspinaczkę. Czas ten pozwolił na zalecenie stopy Adama Pustelnika (pothuczonej w czasie rozgrzewkowej wspinaczki spadającym blokiem skalnym) do stanu, w którym mógł w miarę spokojnie założyć but wspinaczkowy. Po wypoczynku, czwórka zdecydowała się na jeszcze jedną drogę, tym razem na lekko. Celem była jedna, prawdopodobnie niezdobyta, z turni w sąsiedztwie K7 (6950 m), o wysokości ok. 5600 m. Drogę zrobili w jednym, trwającym non-stop przez 39 godzin szturmie (od bazy do bazy). Powstała w ten sposób droga *Ledgeway to Heaven* ma 1300 m wysokości (28 wyciągów) jest niemal klasyczna (7b+ 1 x A0). Zespół wspiął się w dobrym stylu, zostawiając tylko jeden spit i jeden hak na drodze. To było prawdopodobnie pierwsze przejście tej ściany. Jeśli to się potwierdzi, belgijsko-polska czwórka proponuje dla niej nazwę *Nafees Khup*.

Szersza relacja z tej udanej wyprawy – w następnym numerze „Taternika”.



Linia drogi *Ledgeway to Heaven*. Fot. O. Favresse

Katowiczanie w Charakusa

Latem 2007 roku działała w Karakorum (rejon Masherbrum Mountains, dol. Charakusa) dwuosobowa wyprawa w składzie Jan Kuczera i Jerzy Stefański (obydwaj z KW Katowice). Uczestnicy wyprawy przylecieli do Islamabadu 29 czerwca. Po załatwieniu formalności i transportu, dotarli 2 lipca do Hushe, a w dwa później założyli bazę w dolinie Charakusa.

Oto dalsze kalendarium wyprawy:

6 lipca – wyjście aklimatyzacyjne na wysokość ok. 5000 m. i nocleg (poniżej Batowaraho Pass);

6-8 lipca – załamanie pogody;

10 lipca – wejście aklimatyzacyjne na Sulo Peak ok. 6000 m., śnieg i lód ok. 55 stopni, 1000 m deniwelacji, czas wejścia 5 godz.;

12-14 lipca – załamanie pogody;

16 lipca – podejście pod wschodnią ścianę Haji Brakk (ok. 6000 m) w celu jej przejścia nową drogą;

16-17 lipca – biwak – załamanie pogody, śnieg

i deszcz;

17 lipca – powrót do BC;

18 lipca – ponowne podejście pod wschodnią ścianę Haji Brakk;

19-20 lipca – wspinaczka obroną linią, wycofanie się ok. 200 m od szczytu – odmrożenie palców od stop u J. Kuczery;

20-21 lipca – biwak pod ścianą;

21 lipca – zejście do BC;

22-28 lipca – załamanie pogody;

30 lipca – Jerzy Stefański przechodzi południowy kuluar Beatrice (5800 m) tzw. Diaper Couloir, 1000 m deniwelacji, D+, śnieg i lód 65 stopni, łączny czas wejścia i zejścia 4,5 godz.;

3 sierpnia – Jerzy Stefański oraz Nicolas Vawresse i Shon Villeanova przechodzą Igball Wall nową drogą Skitrack, 400 m deniwelacji (9 wyc.+150 m lotnej), trudności 6c, czas 8 godz.;

7 sierpnia – powrót do Hushe;

17 sierpnia – wylot z Islamabadu.

Zimna herbata na Hajim

Relacja z próby przejścia wschodniej ściany Haji Brakk

Za nasz cel wybieramy wybitne zacięcie, w górnej części przechodzące w filar, na wschodniej ścianie Haji Brakk (5950m). Po ponad 4-godzinnym podejściu pod ścianę okazuje się, że żaden z nas nie zabrał ze sobą gazu, co uznaliśmy za tzw. „drobne niedopatrzenie”. Jednak ze względu na dobrą prognozę pogody na najbliższe 3 dni, decydujemy się na wspinaczkę. Następnego dnia wstajemy około godziny 3 nad ranem, i po zimnym śniadaniu wbijamy się w upatrzoną linię. Znajduje się ona na prawo od kuluaru, którym biegnie droga Steve House'a. Nasza wspinaczka rozpoczyna się mikstowym zacięciem o przewyższeniu trochę ponad 500 m. Na jednym z dolnych wyciągów mamy do pokonania komin z „niewielką siklawą”. Jego czysto skalny charakter i trudności techniczne zmuszają nas do użycia miękkich butków. Po przejściu tego prysznic jesteśmy mocno przemoczeni, jednak nie zważając na to, napieramy dalej. Dalsza część drogi to trudny mikst, sięgający mocnej szkockiej VI, po którym około godziny 14 wychodzimy z zacięcia na śnieżną grańkę. Znajdujemy się teraz poniżej 300-metrowych pól śnieżno-lodowych o nachyleniu około 65 stopni. Ze względu na ciężki, mokry i osuwający się śnieg, fragment ten w tych warunkach staje się niemożliwy do pokonania. Z tych powo-

dów jesteśmy zmuszeni do biwaku na śnieżnej grani i rozpoczęcie wspinaczki dopiero w nocy. Jedyną rzeczą, która rozgrzewa nas



Haji Brakk

w trakcie tego oczekiwania są 300-gramowe śpiwory Roberts'a.

Wstajemy o godz. 1, jest jak w lodowce, przegryzamy po ostatnim kabanoście, zapijając to wszystko zimną wodą z pluszem. Po tak dietetycznym śniadaniu, ochoczo rozpoczynamy dalszą wspinaczkę. Polami śnieżnymi dochodzimy do prawie pionowej, około 100-metrowej mikstowej ściany, doprowadzającej w pobliże headwall'a. Wspinaczka na tym odcinku wymaga od nas zaangażowania całych umiejętności. Niektóre fragmenty, ze względu na niepewny śnieg i lód oraz słabą asekurację, trzeba pokonywać z dużą wiarą...

Po przejściu tego odcinka okazuje się, że do skalnej części headwall'a mamy jeszcze 2 wyciągi formacji przypominającej rynnę śnieżno-lodową o nachyleniu około 60 stopni. Jest południe, a my z tych samych przyczyn, co dnia poprzedniego, musimy przezwyciężyć wspinaczkę. W tej chwili mamy do wyboru dwie drogi. Jedna prowadzi do góry – oznacza ona konieczność biwaku bez jedzenia i picia a także zwiększa ryzyko odmrożeń (Jasiek przez cały dzień był pozbawiony czucia w palcach u stop). Druga droga prowadzi w dół...

Pomimo, że jesteśmy około 200 m od szczytu, decydujemy się na wycof. Około godziny 14 znajdujemy się w miejscu, w którym spędziliśmy ostatni biwak. Przed nami jeszcze zejście śnieżno-lodowym kuluarem. Czekamy teraz, aż warunki w nim zrobią się możliwe do zejścia. Teraz schodzą tamtędy śnieżne lawinki i spadają kamienie. Zaczynamy wspiąć się



Mikstowa wspinaczka w górnej części ściany Haji Brakk

w dół po około 2 godzinach oczekiwania, niestety, jak się okazuje, nadal narażeni jesteśmy na spadające kamienie. Momentami przelatują obok nas z niebotyczną prędkością, tym samym dodając nam energii do szybszego schodzenia. O 18.45 jesteśmy z powrotem na półce, z której 2 dni temu rozpoczęliśmy nasz „himalaizm”. Następnego dnia, po biwaku pod ścianą, znajdujemy zapomniany worek z herbata. Mieszając cały jej zapas z lodowcową wodą delektujemy się tym „napojem bogów”, schodząc chwiejnym krokiem do bazy.

Pomimo, że nie udało nam się zdobyć szczytu Haji Brakk, żadna nasza wspinaczka, jak do tej pory, nie niosła ze sobą tylu niebezpieczeństw obiektywnych i nie wymagała tak wielkiego wysiłku. Niestety, okazało się, że Jasiek finalnie odmroził sobie duże palce u stóp, co wyłączyło go z dalszej działalności w dolinie. Na szczęście skończy się to tylko utratą paznokci.

Podziękowania:

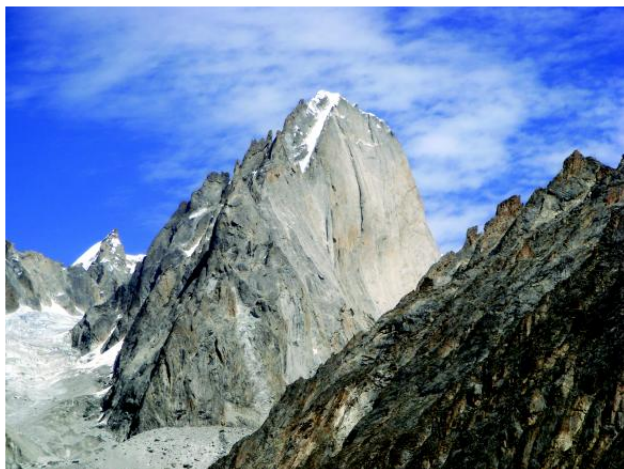
Sponsorzy główni: Polski Związek Alpinizmu, Fundusz im. A. Zawady;

Sponsorzy sprzętowi główni: Lhotse, Marmot (J. Stefański);

Sponsorzy wspierający: Małachowski, Robert's Outdoor Equipment, AMC Krakow, Carpathia Warmpeace;

Dodatkowo chcielibyśmy złożyć podziękowania osobom (oni już wiedzą, za co): Piotr Morawski, Anna Siewiorek, Marcin Wernik, Wojciech Grządziel, Marek Wierzbowski, Piotr Xięski.

Jan Kuczera i Jerzy Stefański



Beatrice (5800 m). Widoczny południowy kuluar, pokonany przez J. Stefańskiego

„Śladami Wandy Rutkiewicz” Wyprawa Anny Czerwińskiej Broad Peak/K2’2007

Jerzy Natkański

Pomysł projektu „Śladami Wandy Rutkiewicz” powstał podczas biwaku Anny Czerwińskiej w 2006 roku pod szczytem Makalu, na wysokości 8250m. Był wynikiem bliskości Kangchendzöngi jak też chęci przybliżenia sylwetki Wandy w 15 lecie jej śmierci na tym szczycie.

Projekt składa się z cyklu wypraw:

- wyprawy Broad Peak/K2 realizowanej w czerwcu i lipcu 2007;
- wyprawy na Kangchendzöngę zaplanowanej na 2008 rok.

Broad Peak (8051 m) był dla Wandy Rutkiewicz górą tragiczną, w 1985 roku straciła tam swoją partnerkę Basię Kozłowską. Podczas kolejnej próby wejścia zginął jej narzeczony. Nigdy nie zdobyła tej góry.

K2 (8611m) – zdobycie tego szczytu było największym sukcesem Wandy Rutkiewicz, pozostaje ona jedyną Polką, która stała na wierzchołku drugiego szczytu świata.

Wyprawa Broad Peak/K2’2007w założeniach miała składać się z wejścia na Broad Peak drogą normalną w celach aklimatyzacyjnych, oraz wejścia na główny cel – K2.

Zrealizowano tylko część pierwszą, głów-



Broad Peak z bazy.

Fot. O. Jarzemski



nie z powodu wyjątkowo niekorzystnych warunków atmosferycznych w tym roku podczas całego okresu działalności na lodowcu Baltoro. W trakcie trwania wypawy nastąpiło ponad wiele załamań pogody (łącznie ok. 18 dni niepogody), powodujących ponad 2-tygodniowe opóźnienie w realizacji planu. Opóźnienie to, w połączeniu z wypadkiem Anny Czerwińskiej i koniecznością wcześniejszego wyjazdu Olafa Jarzemskiego spowodowało, że nie osiągnęliśmy głównego celu.

Notabene, jedyne wejście na K2 w tym sezonie (nie licząc działalności Rosjan na zachodniej ścianie) odbyło się 20 lipca, tego też dnia wchodziliśmy na wierzchołek Broad Peak.

Uczestnicy:

Anna Czerwińska (KW Warszawa) – kierownik, Olaf Jarzemski, Jerzy Natkański (KW Warszawa), Jacek Teler (KW Częstochowa).

Kalendarium wyprawy:

- 6.06. – Przyłot do Islamabadu;
- 7.06. – Briefing w Pakistan Alpine Club;
- 8.06. – Wyjazd do Chilas;
- 9.06. – Dotarcie do Skardu;
- 11.06. – Przejazd jeepami do Askole;
- 12.06. – Początek karawany;
- 18.06. – Dotarcie do bazy pod BP;
- 21.06. – Rozpoczęcie działalności;
- 22.06. – Założenie obozu 2 (6300 m) przez Annę, Olafa i Jacka;
- 24.06. – Wyjście Olafa i Jacka do obozu 2;
- 25.06. – Wyjście Anny i Jurka do obozu 2, założenie obozu 3 (7100 m) przez Jacka i Olafa;
- 1.07. – Wyjście Anny i Jurka do obozu 2;
- 5.07. – Wyjście Olafa i Jacka do obozu 2;
- 6.07. – Wyjście Anny i Jur-



Olaf Jarzemski i Jerzy Natkański na wierzchołku

ka do obozu 2, Jacek idzie do obozu 3 i schodzi 8.07. do bazy;

10.07. – Wyjście Anny, Olafa i Jurka do obozu 2. Wypadek Anny – uderzenie bryłą lodu w klatkę piersiową. Powstałe w jego wyniku zakrzepy spowodowały objawy zauważalne dopiero po kilkunastu dniach i konieczność ewakuacji helikopterem;

11.07. – Anna, Olaf i Jurek dochodzą do obozu 3;

12.07. – Próba ataku szczytowego: dojście do wys. 7700-7900 m, po czym wycofanie się. Jurek schodzi do bazy, Anna i Olaf zostają na wysokości 7100-7300 m, schodzą dopiero 15.07;

18.07. – Wyjście Jacka, Olafa i Jurka do obozu 2;

19.07. – Wyjście Jacka, Olafa i Jurka do C3;

20.07. – Atak szczytowy, Jacek, Olaf i Jurek wchodzą na Broad Peak;

23,25.07 – Zejście do Skardu Olafa i Jurka;

26.07. – Ewakuacja Anny helikopterem z bazy;

30-31.07. – Jacek z Austriakami dociera Żebrem Abruzzi do obozu 3 (7400) na K2;

10-12.08. – Ponowna próba Jacka na K2 – odwrót spod bariery seraków (ok. 7700 m).

Jubileusz 50-lecia pierwszego wejścia na Broad Peak sprawił, że ponad 20 wypraw próbowało wejść na ten szczyt. Wśród ich uczestników były rywalizujące ze sobą o Koronę Himalajów Edurne Pasaban i Gerlinde Kaltenbrunner (patrz również str. 31 – przyp. red.).

Obecna była również 10-osobowa wypra-

wa Krzysztofa Wielickiego, z którą w pełni współpracowaliśmy, niestety nikomu z jej uczestników nie udało się wejść na szczyt. Miłym akcentem była też obecność w eterze polskiej wyprawy z Gorzowa Wielkopolskiego, kierowanej przez Jarka Woćko i działającej na niedalekiej Laili. Obecnie za ok.1000 USD można spędzić miesiąc w Karakorum na szczytach poniżej 7000 m, z pełną obsługą agencji.

Podczas jedynych dni szczytowych: 23 czerwca oraz 12 i 20 lipca, na wierzchołek główny weszło około 40 osób.

Wchodzący 20 lipca byli świadkami bezprecedensowej akcji transportu spod szczytu, z wysokości 8000 m, ciała kierownika wyprawy austriackiej w 2006 roku Markusa Kronthalerera przez grupę ratowników austriackich i tragarzy wysokościowych z Nepalu i Pakistanu.



Urodziny Ani w obozie 2. Fot. O. Jarzemski

Sponsorzy główni: Wedel, Getinbank, Redbull.

Sponsorzy : Amica, Kreisel, Energizer, Hi-Mountain, Hannah, Janysport, Nikon, Jade-xim, Telekarma, CibaVision.

Organizatorzy: Fundacja Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki, Polski Związek Alpinizmu.

Przekaz: www.maratonczyk.pl, TVN Me-teo, Marsat,PAP.

Asfaltem pod Everest

Chiny oznajmiły, że w ramach przygotowań do Olimpiady w 2008 roku planuje się budowę dwupasmowej asfaltowej drogi do bazy pod Mount Everestem. Poszukiwacze przygód na całym świecie przyjmą zapewne tę wiadomość z dezaprobatą, traktując budowę jako brutalne wdzieranie się do himalajskiego pustkowia. Ale ci, którzy stosunkowo niedawno byli w tej okolicy mogą tylko wzruszyć ramionami – do odległej przeszłości należą już czasy, gdy podnóże Everestu można było nazwać pustkowiem. Kilkupiętrowy hotel od paru już lat stoi na wysokości przekraczającej 5000 m i w odległości godziny drogi od bazy. Oferuje on gorące posiłki, zimne piwo, miękkie łóżka i teleskop wycelowany na czubek najwyższej góry świata. Łączność ze światem zapewnia turystom i alpinistom ogromny maszt przekaźnika telefonii komórkowej zbudowany przez China Telecom. Urzędnicy z Tybetańskiego Związku Alpinizmu twierdzą, że „alpinści będą mogli zaoszczędzić energię na wspinanie się”. Ale w tym względzie też niewiele się zmieni. Podczas, gdy po stronie nepalskiej dotarcie pod Everest wymaga ok. tygodnia marszu pod górę, to do północnej bazy już od dziesięcioleci dociera się ciężarówkami. Chińska państwowa agencja prasowa Xinhua poinformowała, że droga ułatwi wniesienie na szczyt Everestu znicza olimpijskiego (!?). Alpinści zachodni obserwowali już działalność dużej grupy Chińczyków, którzy testowali różne typy zniczy, by stwierdzić, które z nich najlepiej palą się w rozrzedzonym powietrzu. Zwolennicy projektu wysuwają argumenty, że przy budowie drogi znajdą zatrudnienie setki mieszkańców jednego z najbiedniejszych regionów Azji. Jednakże orędownicy tybetańskiej niezależności prawdopodobnie nie będą zadowoleni, uważając, że wędrówka olimpijskiego znicza stanowić będzie kolejny etap zawłaszczania Tybetu przez komunistyczne państwo. Niewątpliwie będą protesty, ale jedna rzecz jest oczywista: poprzez kolejne ułatwienia w dochodzeniu do bazy i na szczyt, Chiny zamierzają przy okazji swoich igrzysk zamienić Mount Everest w pierwszoplanową arenę i źródło zysku.

Kaltenbrunner i Meroi ramię w ramię ku Koronie Himalajów

Wchodząc 17 maja 2007 na Everest, Nives Meroi została pierwszą Włoszką i trzecią kobietą w historii, która zdobyła najwyższy szczyt świata bez tlenu. Do niej należy rekord kobiecych wejść „beztlenowych” – swoje wszystkie 10 wierzchołków ośmiotysięcznych zdobyła bez tlenu! Z taką kolekcją najwyższych szczytów wyszła na czoło stawki himalaistek pretendujących do Korony Himalajów. Początkowo prowadzący statystyki portal AdventureStats.com miał wątpliwości, czy była ona na głównym wierzchołku Shisha Pangma Włoskie media z całym przekonaniem donosiły, że Meroi ma już na koncie 10 ośmiotysięczników. W końcu publicznie głos zabrała sama Nives Meroi: „Jesteśmy pewni, że byliśmy na głównym wierzchołku Shisha Pangma, mimo, że na zdjęciu otacza nas mgła! Dokładnie opiliśmy naszą drogę wejściową i skonfrontowaliśmy opis z wieloma alpinistami, którzy byli na szczycie, i wszystko się zgadza. Najwyższy osiągnięty przez nas punkt grani był głównym wierzchołkiem. Tłumaczyliśmy to już wielokrotnie, nawet niedawno przechodziliśmy pod Shisha Pangma, i powtarzam – nie ma najmniejszych wątpliwości, że w 1999 roku stanęliśmy na wierzchołku”.

12 lipca 2007 Austriaczka Gerlinde Kaltenbrunner weszła na Broad Peak, zdobywając swój 10 ośmiotysięcznik i wyrównując osiągnięcie Włoszki. Miała szanse nawet ją wyprzedzić, gdyby zgodnie ze swoim zamierzeniem, w tym samym sezonie weszła również na K2. Jednak



Nives (z lewej) i Gerlinde

pogoda w tym rejonie Karakorum była kapryśna. Dopiero 10 sierpnia pojawiła się szansa. Gerlinde wraz z Davidem Gottlerem oraz dwoma Amerykanami Fabrizio Zangrillim i Danielem Bartschem dołączyli do polsko-słowackiej trójki: Peter Hamor, Dodo Kopold i Piotr Morawski. Sformowany w ten sposób 7-osobowy zespół, nazwany „ekspresowym” wystartował z bazy o godz. 2 w nocy i wspinając się drogą Česena, wieczorem dotarł na Ramię K2. Następnego dnia, blisko granicy 8000 m, atak załamał się. Zdecydowały niebezpieczne warunki na stokach w okolicy „Bottleneck”, oraz zmęczenie wspinaczy, którzy poprzedniego dnia

w piorunującym tempie pokonali dwu i pół kilometrową różnicę poziomów dzielącą górne obozy od bazy.

Tak więc, w kobiecym wyścigu do Korony Himalajów, na czele znajdują się 2 alpinistki – Nives Meroi i Gerlinde Kaltenbrunner. Tej pierwszej do kompletu brakuje Kangchendzöngi, Makalu, Manaslu i Annapurny. Kaltenbrunner ma do zdobycia Everest, K2, Lhotse i Dhaulagiri. Tej dwójce po piętach depcze Baskijka Edurne Pasaban z kolekcją 9 ośmiotysięczników. Spośród żyjących himalaistek, czwartą z kolei jest Anna Czerwińska (6 szczytów), a za nią – Meksykanka Bonilla Badia oraz Japonka Watanabe (po 5).

Alex Huber pokonał dolomitowy mega-okap

Alexander Huber przeszedł klasycznie ogromny okap na północnej ścianie Cima Ovest di Lavaredo, kiedyś nazywany „największym okapem świata”. Zaczyna się on 5 wyciągów od podstawy 500-metrowej ściany i wywiesza się poza pion na ok. 40 m. Po raz pierwszy został pokonany techniką sztucznych ułatwień (A3) w 1968 przez Szwajcarów Gerda Baura oraz braci Waltera i Ericha Rudolphów. Huber nie wspinał się dokładnie drogą szwajcarską, jego klasyczny wariant najpierw prowadzi trochę na lewo od linii oryginalnej, następnie ją przecina, a potem biegnie z prawej. Na patentowanie i ubezpieczenie drogi Niemiec poświęcił 19 dni. Droga nazwana *Pan Aroma* otrzymała maksymalną wycenę 8c (XI-/XI), podobnie jak inna realizacja Hubera na Cima Ovest, *Bellavista* (z zimy 1999), biegnąca na lewo od „Dachu Świata”. Pierwsze 5 wyciągów nowej drogi jest wspólnych z tą ostatnią. 26 lipca 2006 jego partnerami byli Max Reichel i Franz Hinterbrandner. Tego dnia Alex pokonał RP wszystkie dotychczas przygotowane odcinki, zespół zabiwakował ponad okapem i następnego dnia wszedł na wierzchołek. Wycena poszczególnych wyciągów przedstawia się następująco: 7b, 6c, 6a+, 6c+, 7a+, 8b+ (60 m, 7 spitów), 8c (20 m, 4 spity), 6c, 6c+, na szczyt wychodzi się drogą Cassina.



Huber w okapie. Fot. M. Meisl

Adam Ondra na ścianach alpejskich

Dla wielu wspinaczy sportowych przejście do wspinania alpejskiego, nie mówiąc już o wielkościanowym czy himalaizmie, wydaje się trudne, ryzykowne lub przynajmniej nieopłacalne. Ryzyko, mróz, niepogoda, niepewność sukcesu mimo wysokiej formy, itp... Rewelacyjny czeski małolat, czternastoletni Adam Ondra należy do chlubnych wyjątków. Adam postanowił spróbować swych sił na wiele wyciągowych skalnych drogach Alp. Za teren swoich premierowych górskich przejść wybrał Rätikon, masyw położony na granicy szwajcarsko-austriackiej. Rejon zasłynął między innymi dzięki ekstremalnym wielowyciągówkom, autorstwa wybitnego austriackiego wspinacza lat 80. i 90., Beata Kammerlandera. Jednym z najbardziej znanych jego dróg jest *Silbergeier* 8b+ na 4 Kirchlispitze, uważana za jedną z najtrudniejszych dróg na świecie. Wytyczona w 1993 r. legendarna droga stała się częścią tzw. Alpejskiej Trylogii, obok *End of Silence* na Hinteres Feuerhorndl (Alpy Berchtesgadeńskie), autorstwa Thomasa Hubera i *Des Kaisers Neue Kleider* na Fleischbanku (Wilder Kaiser) Stefana Glowacza – dróg poprowadzonych w rok później. Właśnie *Silbergeier* został wybrany na alpejski debiut Adama. Jego partnerem był Ondra Beneš, autor siódmego przejścia drogi (24 czerwiec 2006). 200-metrowa droga została pokonana w 8 godzin. Było to prawdopodobnie najszybsze dotychczasowe przejście. W 2 dni później Adam przeszedł jeszcze jedną kilku wyciągową drogę w Rätikonie od strony szwajcarskiej, po czym odwiedził również skałkowy rejon Voralpsee.

Nangpai Gosum

Znani włoscy (południowo-tyrolscy) alpinisci i przewodnicy górscy Hans Kammerlander (50) i Karl Unterkircher (37) dokonali I przejścia południowej ściany Nangpai Gosum I (in. Pasang Lhamu Chuli lub Jasamba, 7351 m), szczytu wznoszącego się na granicy nepalsko-tybetańskiej, w sąsiedztwie Cho Oyu.

„Była to najtrudniejsza i najpiękniejsza wspinaczka w mojej karierze alpinistycznej” – oświadczył Kammerlander po powrocie do bazy – „Od trzech lat zmagam się z tą górą, a rok



Nangpai Gosum I (7351 m)

temu straciłem tu partnera z liny, Loisa Bruggera. Ściana przypomina północną ścianę Eigeru ale jest znacznie wyższa i trudniejsza, a na dodatek trudności znajdują się na wysokości 7000 m. Gdy byliśmy już wysoko, potężna lawina zniszczyła nasze poręczówki poniżej obozu I (6100 m), co zmusiło nas do niebezpiecznej improwizacji podczas zjazdów.”

Dwaj alpinisci stanęli na wierzchołku 22 maja o godz. 15, po akcji trwającej nieprzerwanie 20 godzin. Wcześniej, w dniach 13-16 maja, liny poręczowe zostały doprowadzone do wysokości 6700 m.

Włoskie media i sami zdobywcy twierdzili, że było pierwsze w ogóle wejście na Nangpai Gosum I. Tymczasem wierzchołek ten (zachodni), będący kulminacją większego masywu – wyróżniamy jeszcze Nangpai Gosum Middle, (7050 m) oraz Nangpai Gosum East, (7315 m), został zdobyty północno-zachodnią granią przez wyprawę japońską pod kierunkiem H. Yashimy. Dokonała ona dwóch wejść szczytowych w dniach 12 i 14 października 1986 – na wierzchołku stanęło w sumie 10 alpinistów. Kolejne wejście, dokonane w 1996 r. zachodnią granią i północną ścianą, należy również do Japończyków. Wyprawą kierował Tamotsu Ohnishi. Wejście Kammerlandera i Unterkirchera byłoby zatem trzecim z kolei.

Być może nieporozumienie bierze się stąd, że na Nangpai Gosum Nepal długo nie wydawał pozwoleń a gdy go wreszcie „otworzono”, nadano mu nazwę Pasang Lhamu Chuli, na cześć nepalskiej alpinistki, która w 1993 r. zginęła na Evereście. Natomiast Japończycy, atakując go od strony Tybetu, nepalskiego pozwolenia nie potrzebowali.

Hans Kammerlander, poza szeregiem najtrudniejszych ścian, ma na swoim koncie wejście bez tlenu na 12 ośmiotysięczników Ziemi oraz zjazd na nartach z Everestu. Karl Unterkircher w 2004 r., w ciągu dwóch miesięcy wszedł zarówno na Everest jak i na K2.

Nowa droga na Shipton Spire

Rosjanie „wcisnęli” jeszcze jedną nową drogę na południowo-wschodniej ścianie Shipton Spire (in. Haina Brakk Central Tower, 5852 m), popularnej turni w rejonie Trango. Na tej 1300-metrowej granitowej ścianie jest teraz niemal tak gęsto od dróg, jak na południowo-wschodniej ścianie El Capitan. Czterej rosyjscy wspinacze Jewgienij Korol, Andriej Muryszew, Siergiej Niłow i Denis Sawieliew spędzili 20 dni pracując w stylu big-wall nad nową linią. Do wierzchołka iglicy dotarli 30 lipca, po trudnym przedzieraniu się ośnieżoną szczytową granią. Droga nazwana *Fragments of Freedom* ma 32 wyciągi, trudności 6b A4, a prowadzi na lewo od znanej *Women and Chalk* (Bole-Cortese-Dandri, 2001) i na prawo od *Baltese Falcon* (Boyd-Child-Foweraker, 1996) – pierwszej drogi na szczyt. To już dziesiąta droga na Shipton Spire na południowo-wschodniej flance.



W ścianie Shipton Spire

Paweł Michalski wszedł na G I

Oto treść wiadomości, nadesłanej przez niego do redakcji „Taternika”: „Pragnę poinformować, że w okresie 13.06.2007 – 13.08.2007 przebywałem na wyprawie w Karakorum. Celem ekspedycji było zdobycie szczytów Gasherbrum I oraz Gasherbrum II. Dnia 30.07.2007 wszedłem na Gasherbrum I. Atak szczytowy został przeprowadzony z obozu III na wysokości 7000 m. Całość ataku trwała 15 godz. W tym sezonie szczyt GI osiągnęło ok. 30 osób (z ponad dwustu w Bazie Głównej).



Paweł Michalski na szczycie Gasherbrum I

Drugi cel ekspedycji – Gasherbrum II pozostał nie zdobyty – osiągnąłem wysokość ponad 7000 m, a gdy zszedłem odpocząć do Bazy Głównej, zeszła lawina pochłaniając 3 ofiary, a 6 osób ciężko raniąc. Później już nie było szans wspinaczki ze względu na zagrożenie lawinowe.”

Paweł osiągnął swój sukces zupełnie bez rozgłosu. Gasherbrum I (in. Hidden Peak, 8080 m) jest szczytem znacznie trudniejszym od pobliskiego Gasherbrum II (8034 m), mającego opinię najłatwiejszego z ośmiotysięczników. Wierchołek GI osiągnęło dotychczas 11 Polaków.

Oto wszystkie polskie wejścia:

23 lipca 1983 – Jerzy Kukuczka, Wojciech Kur-

tyka;

16 lipca 1990 – Wanda Rutkiewicz, Ewa Panajko-Pankiewicz;

15 lipca 1995 – Krzysztof Wielicki, Jacek Berbeka;

15 lipca 1997 – Ryszard Pawłowski, Piotr Pustelnik, Jacek Masełko, Józef Goździk;

30 lipca 2007 – Paweł Michalski.

Północna ściana Gasherbrum II

Thumnie dotąd odwiedzany wierzchołek Gasherbrum II, w czasie tego sezonu miał bardzo niewiele wejść. Na drodze normalnej od południa problemem była ogromna ilość świeżego śniegu zalegającego ścianę. Stało się to przyczyną zejścia w dniu 18 lipca wielkiej lawiny, o której wspomina Paweł Michalski, która porwała członków międzynarodowej komercyjnej wyprawy „Amical”, kierowanej przez Dirka Groegera z Monachium. Lawina zeszła z wys. ok. 6700 m na stokach śnieżnych powyżej obozu II (6500 m).

Najważniejszym osiągnięciem na tym szczycie było poprowadzenie nowej drogi od północy przez trójkę Włochów: Daniele Bernasconiego, Michele Compagnoniego i Karla Unterkirchera. Obiektem ich ataku był ogromny skalno-lodowy filar wyprowadzający wprost na wierzchołek. Po wstępnej aklimatyzacji Włosi wystartowali 18 lipca z bazy położonej po chińskiej stronie masywu Gasherbrumów. Pokonali skalny filar, na którym trudności sięgały V stopnia i dotarli do wcześniej już założonego obozu I (5800 m). Następnego dnia rozbili obóz II na wysokości 6700 m, z którego zaatakowali wierzchołek. 20 lipca o godz. 20 na szczycie zameldowali się dwaj alpinisci z nich – Daniele Bernasconi i Karl Unterkircher. Trzeci uczestnik grupy szturmowej Mario Compagnoni był mocno wyczerpany, ale nadal szedł do góry. W końcu postanowił wytrawersować ze ściany na przełęcz między GII i GIII. Tam czekali na niego Bernasconi i Unterkircher. Wskutek późnej pory, cała trójka zeszła normalną drogą na stronę pakistańską.

Pumari Chhish South zdobyty

12 czerwca Francuzi 2007 Yannick Graziani i Christian Trommsdorff dokonali w stylu alpejskim pierwszego wejścia na Pumari Chhish South (7350 m), szczyt w rejonie Hispar Muztagh (Karakorum). Pierwszą próbę zdobycia szczytu południową ścianą podjęli w 1999 i 2000 roku Brytyjczycy Julie Ann



Południowe ściany masywu Pumari Chhish.

Pierwszy z lewej - szczyt południowy. Arch. red.

Clyma i Roger Payne. Próby ze względu na fatalną pogodę nie były zbyt zaawansowane. Brytyjska para nie dotarła pod ścianę szczytową, wycofując się z wysokości 6200m i 5300m.

Graziani i Trommsdorff już dwukrotnie próbowali zdobyć ten odległy i trudno dostępny szczyt w 2003 r. Pierwsza próba, podjęta w maju, zakończyła się na wysokości ok. 6750 m po bardzo trudnym biwaku. Po raz drugi zaatakowali w połowie czerwca, ale musieli wycofać się z wysokości 6900 m, zaledwie 2 wyciągi przed granią szczytową.

W tym roku Francuzi, po przejściu na nartach lodowca West Yutmaru, wystartowali 8 czerwca. Po trzech dniach wspinaczki przeszli 60-stopniową śnieżną rampę w prawej części południowej ściany i doszli pod ścianę szczytową. Wznoszący się wyżej 300-metrowy skalny filar, przetykany lodem, pokonali niemal w całości klasycznie lub drytoolingiem. Jedyne w 30-metrowym przewieszonym zacięciu użyli techniki hakowej. Biwakowali po przejściu ściany szczytowej, skąd pozostało im pokonać jedynie 300-metrową grań do szczytu. Na dziewiczym wierzchołku stanęli 12 czerwca. Trzydzieści pięć zjazdów i trochę wspinaczki w dół zajęło im 1,5 dnia. Przez cały czas akcji górskiej sprzyjała im dobra pogoda.

Kolejny piękny szczyt w Chinach łupem Brytyjczyków

W październiku i listopadzie 2005 roku Mick Fowler, Chris Watts, Phil Amos i Adam Thomas odwiedzili znajdujący się w Wschodnim Tybecie rejon Nyainqentanglha East. Znaleźli wtedy dwa niezdobyte, przypominające swoim wyglądem Matterhorn, szczyty Kajaquiao (6447 m) i Manamcho (6264 m). Ten pierwszy został wówczas zdobyty przez dwójkę Fowler-Watts („Taternik” 3-4/2006 s. 50). Natomiast zespołowi Amos-Thomas nie udało się atak na sąsiedni cel – na północno-zachodniej grani Manamcho osiągnęli oni wysokość 5880 m.

W kwietniu 2007 roku Fowler wrócił w to miejsce m.in. ze swoim sprawdzonym partnerem – Paulem Ramsdenem (Złoty Czekan 2002 dla tej dwójki za północną ścianę Siguniang). Tym razem sukces był pełny – Anglicy dokonali pierwszego wejścia na Manamcho. Wejście granią północno-zachodnią granią (alpejskie TD) wraz z powrotem zajęło im 7 dni. Druga dwójka Steve Burns i Ian Cartwright weszła na również dziewiczy szczyt 5935 m w tym samym rejonie (trudności AD).

Manamcho jest dopiero czwartym szczytem sześciotysięcznym zdobytym w rejonie Nyainqentanglha. Trudna do określenia, duża liczba innych takich celów czeka na swoich pierwszych zdobywców w Tybecie.

Trzy czubki Ameryki

W poprzednim numerze „Taternika” (str. 59) pisaliśmy o dyskusjach na temat wysokości Ojos del Salado i planowanych nowych pomiarach. Dziś możemy już stwierdzić, że rewolucji na mapach nie będzie. Rewizja pomiarów najwyższych szczytów Ameryki przyniosła raczej spodziewane wyniki. „Desnivel” z 18 maja opublikował końcowe rezultaty tych prac, przeliczone w Instituto Geográfico Militar. Wynika z nich, że wysokość Ojos del Salado, mierzona od średnionowego poziomu morza, nie odbiega od dotychczasowej i wynosi 6891,31 m, natomiast w stosunku do elipsoidy ziemskiej 6934,12 m. Nevado Pissis jest zdecydowanie niższy: 6792,53 m n.p.m, zaś względem elipsoidy 6833,21 m. Wysokość Aconcagua zmierzono w r. 2005 – również na oba sposoby. Wynosi ona 6963,58 m (6995,13 m). Zdaniem IGM, przy pomiarach n.p.m. możliwość błędu jest znaczna – może sięgać 5–10 m (centymetry w kotach wyglądają więc dość zabawnie).



Kajaquiao (6447 m) i Manamcho (6264 m) od pn.-zach. Fot. Toshihiko Furuata

Puchar Polski w narciarstwie wysokogórkim AD 2007

Jacek Radosław Bilski

W tym sezonie Puchar Polski w narciarstwie Wysokogórkim (PP) był rozgrywany po raz szósty. Na tegoroczny PP złożyły się cztery imprezy: 16/17.02. Puchar Połonin (PPo) (org. Rzeszowski KW), 23-24.02. Puchar Pilska (PPi) – podniesiony do rangi Mistrzostw Polski 2007 (MP) (org. KS Kandahar), 9-10.03. Memoriał im. Waldemara Siemaszki (org. Szkoła Górska z Samotni) i 13-14.04. Puchar SN PTT 1907 im. Józefa Oppenheima (PO) (org. SN PTT 1907). Trzy pierwsze zostały opisane w poprzednim numerze Tatarnika – z tej przyczyny omawiam je marginalnie.

Puchar Połonin

Bazą zawodów było Muczne. Trasy zawodów biegły w rejonie najwyższych szczytów Bieszczadów Zachodnich – Tarnicy, Kopy Bukowskiej, Krzemienia i Szerokiego Wierchu. Po zeszłorocznej wpadce organizacyjnej Rzeszowski KW zmobilizował siły, co dało pozytywne efekty. Pogoda była wspaniała, choć wietrzna. Na życzenie delegatów PZA wydłużono projektowaną trasę seniorów o trasę młodzików.

Puchar Pilska

Mistrzostwa odbyły się w kategorii tematów. Trasa PPi była tradycyjnie wymagająca, m.in. dwa odcinki poręczówek. Z powodu ciepłej zimy nie udało się skonstruować ścian-



Sceneria Memoriału Siemaszki 2007. Fot. J. Bilski



ki lodowej, która w zeszłym roku skutecznie „wywracała” kolejność przed samą metą. Pogoda była przyzwoita, na Pilsku wiało. Mistrzyniami Polski zostały: Magdalena Derezińska i Aleksandra Dzik (obie KS Kandahar) przed Justyną Żyszkowską i Ewelina Zwiacz Kozicą (obie Tatra Team), Mistrzami Polski zostali Szymon Zachwieja i Jacek Żyłka-Żebracki (obaj Grupa Podhalańska GOPR) przed Jarosławem Prokopem (KS Kandahar) i Mariuszem Wargockim (Tatra Team). KS Kandahar tradycyjnie zaprezentował wysoki poziom organizacyjny. Zawody były kwalifikacjami dla kadry narodowej na Mistrzostwa Europy.

Memoriał im. Waldemara Siemaszki

Już po raz drugi Szkoła Górska z Samotni wzbija się na wysoki poziom organizacyjny. Organizatorów wspierał dyrektor biura PZA – Sławomir Ejsymont, relacjonując na żywo przebieg zawodów dla kibiców w Samotni. Warunki narciarskie były bardzo dobre, warunki atmosferyczne trudne – silny wiatr i mgła. Podobnie jak na PPo, na życzenie delegatów PZA wydłużono projektowaną trasę seniorów, tym razem o drugie wejście na Śnieżkę oraz o trasę kadetów.

Puchar SN PTT 1907 im. Józefa Oppenheima

Zawody odbyły się w znakomych warunkach pogodowych i śniegowych w stulecie klubu SN PTT 1907. Ze względu na brak śniegu na Polanie Chochołowskiej, na wniosek delegata technicznego PZA, zmodyfikowano trasę w stosunku do zaprojektowanej – start odbył się za schroniskiem w kierunku nartostrady na Grzesia, a metę ustawiono przy elektrowni wodnej. Dwa emocjonujące zjazdy z Wołowca i z Kończystego stanowiły o wartości trasy. W przyszłym roku, na sugestię

Narciarstwo wysokogórskie



Klaudia Tasz na wierzchołku Kończystego Wierchu

Fot. J. Bilski

delegata technicznego PZA, zostanie ona wzbogacona o zaporęczowane odcinki skalne. Organizatorzy raz po raz drugi odstąpili od projektowanego zjazdu pn.-wsch. żlebem Wołowca tłumacząc się zagrożeniem lawinowym (był ogłoszony I stopień zagrożenia). Delegaci PZA nie ingerowali w decyzję organizatorów, ale przewodniczący jury zjechał tym żlebem w trakcie trwania zawodów. Zawody były finałem PP 2007.

Puchar Polski 2007

Ostatecznie Puchar Polski 2007 objął cztery kategorie. Pozostałe cieszyły się zbyt małą frekwencją, by być prowadzonymi w PP 2007. Chętnych do uprawiania narciarstwa wysokogórskiego na poziomie sportu kwalifikowanego ubywa, ale nie jest to przypadłość wyłącznie polska. Ilość zawodników startujących w tegorocznych Mistrzostwach Europy też nie była imponująca. Po raz pierwszy w historii wprowadzono dla senierek i seniorów nagrody pieniężne.

W kategorii kadecek nie było niespodzianek – Puchar Polski zdobyła nasza brązowa medalistka z Mistrzostw Europy – Julia Wajda. Należy zwrócić uwagę na zdobywczynię drugiego miejsca Aleksandrę Chruściel, której chwilami

bardzo niewiele brakuje do Julii. Po nklej frekwencji na zawodach pucharowych naszych dwu czołowych pań – Magdaleny Derezińskiej i Justyny Żyskowskiej – zdobywczyni Pucharu Polski w kategorii senierek też nie była niespodzianką. Aleksandra Dzik, tegoroczna Mistrzyni Polski, wygrała zasłużenie. Warto zwrócić uwagę na nowe nazwisko, które pojawiło się w tym sezonie, na Klaudię Tasz. Klaudia wygrała Puchar Oppenheima! Na uznanie zasługuje też nestorka Zofia Chruściel, która przekwalifikowała się regulaminowo na początku sezonu na seniorkę i zajęła drugie miejsce! Ciekawie wypadła klasyfikacja pucharowa w kategorii seniorów i podkategorii weteranów. Trzech pierwszych weteranów – Jarosław Prokop, Mariusz Wargocki i Jacek Czech – zostało wyprzedzonych w kategorii seniorów tylko przez znakomitego Szymona Zachwieję. Trochę za sprawą Jacka Żylki-Żebrackiego, który niespodziewanie nie wystartował w finałowej edycji. W kategorii seniorów pojawiło się w tym sezonie nowe nazwisko Tomasza Brzeskiego, którego forma zwyciężowała i w rezultacie dała mu piątą lokatę.

Na wszystkich zawodach pucharowych funkcję przewodniczącego jury sprawował Jan Maciej Głogoczowski, a funkcję delegata technicznego i sekretarza komputerowego wyżej podpisany.

Do zobaczenia na PP2008!



Julia Wajda (pierwsza z prawej) na podium Mistrzostw Europy.

Arch. KNW

Wyniki

Puchar Oppenheima

Seniorzy

1. S. Zachwieja (GP GOPR) 2:42.15
2. J. Prokop (Kandahar) 2:43.58
3. T. Brzeski (KW Nowy Sącz) 2:51.38
4. M. Wargocki (Tatra Team) 2:58.09
5. J. Czech (Kandahar) 3:08.05

Seniorki

1. K. Tasz (Kandahar) 3:41.23
2. A. Dzik (Kandahar) 3:51.51
3. A. Solik (Kandahar) 4:13.40
4. Z. Chruściel (Sp. Dąbr. Górn.) 5:15.34

Nestorzy

1. E. Grzegorek (Kandahar) 4:53.08
2. G. Żyżyński (Kandahar) 5:17.50

Juniorzy

1. M. Kulig (Tatra Team)

Kadeci

1. P.J. Grzegorzek (Kandahar) 2:50.10

Kadetki

1. J. Wajda (Kandahar) 1:23.34
2. A. Chruściel (Sp. Dąbr. Górn.) 1:24.23
3. E. Gajewska (Tatra Team) 1:39.47
4. K. Buczyńska (Tatra Team) 1:40.48

Młodziczki

1. M. Myślińska (Kandahar) 1:13.53
2. A. Cikowska (Tatra Team) 1:26.38

Ranking końcowy P. P.

Seniorzy

1. S. Zachwieja (GP GOPR) 390
2. J. Prokop (Kandahar) 366
3. M. Wargocki (Tatra Team) 361
4. J. Czech (Kandahar) 325
5. T. Brzeski (KW Nowy Sącz) 321

Mistrzostwa Europy

w narciarstwie wysokogórskim

Mistrzostwa Europy w narciarstwie wysokogórskim 2007 odbyły się w dniach 24-28 marca 2007 roku w miejscowości Morzine-Avoriaz we Francji. W imprezie uczestniczyło 230 zawodniczek i zawodników z 21 krajów, w tym 9 z Polski – 5 seniorów (Jacek Czech, Jarosław Prokop, Mariusz Wargocki, Szymon Zachwieja i Jacek Żebracki), junior Andrzej Bargiel, kadet Piotr Grzegorzek oraz kadetki Aleksandra Chruściel i Julia Wajda. Kierownikiem ekipy był Jan M. Głogoczowski. Rozegrano 4 konkurencje (vertical, bieg zespołowy, sztafety i bieg indywidualny). Z ekipy polskiej w verticalu starowało 7 osób (3 seniorów, 1 ju-

6. J. Żyłka-Żebracki (GP GOPR) 286
7. J. Przysaś (SKTJ) 285
8. P. Sobczyk (Kandahar) 277
9. M. Zwoliński (Kandahar) 262
10. P. Knap (Kandahar) 259
11. J. Zachwieja (GP GOPR) 222
12. B. Golec (Kandahar) 215
13. M. Kilarski (Kandahar) 199
14. J. Brzosko (Tatra Team) 158
15. P. Pawlikowski (Tatra Team) 146
16. G. Wiercioch (Tatra Team) 143
17. A. Szwed (Kandahar) 139
18. K. Rakus (Kandahar) 139
19. B. Zwijacz-Kozica (Tatra Team) 138
20. B. Chmielewski (Kandahar) 138
21. M. Łowisz (Kandahar) 122

Seniorki

1. A. Dzik (Kandahar) 380
2. Z. Chruściel (Spel. Bielsko-Biała) 337
3. K. Tasz (Kandahar) 295
4. A. Solik (Kandahar)
5. J. Żyszkowska (Tatra Team) 190

Kadetki

1. J. Wajda (Kandahar) 300
2. A. Chruściel (Spel. Dąbr. Górn.) 285
3. E. Gajewska (Tatra Team) 180
4. K. Buczyńska (Tatra Team) 172
5. A. Tybor (Tatra Team) 90

Weterani

1. J. Prokop (Kandahar) 395
2. M. Wargocki (Tatra Team) 390
3. J. Czech (Kandahar) 360
4. P. Knap (Kandahar) 306
5. J. Zachwieja (GP GOPR) 254
6. G. Wiercioch (Tatra Team) 158
7. B. Zwijacz Kozica (Tatra Team) 156
8. K. Rakus (Kandahar) 154

nior, 1 kadet, 2 kadetki), w biegu zespołowym 4 (wyłącznie seniorzy, w kategoriach młodzieżowych tej konkurencji się nie rozgrywa), w sztafetach 7 (4 x senior oraz 1 junior + 1 kadet + 1 kadetka), a w biegu indywidualnym 8 osób (4 seniorów, 1 junior, 1 kadet, 2 kadetki). Zawody stały na bardzo wysokim poziomie i były świetnie przygotowane pod względem organizacyjnym (dopisała także pogoda i warunki śniegowe na trasach).

Duży sukces sportowy odniosła Julia Wajda, która zdobyła 2 brązowe medale ME w kategorii kadet w konkurencji vertical i w biegu indywidualnym. Bardzo dobry wy-

nik (5. miejsce) uzyskała sztafeta młodzieżowa w składzie Julia Wajda (kadet), Andrzej Bargiel (junior) i Piotr Grzegorzek (kadet). Inne wyniki naszej reprezentacji pozostawały na przeciętnym poziomie. W sumie na 21 państw uczestniczących w Mistrzostwach Eu-

ropy reprezentacja Polski zdobyła w klasyfikacji medalowej 6. miejsce, a w klasyfikacji generalnej 9/10. Ogółem start polskiej reprezentacji należy uznać za udany.

Jan Maciej Głogoczowski

XIX Memoriał Jana Strzeleckiego

19. już edycję Memoriału Jana Strzeleckiego w Narciarstwie Wysokogórskim rozegrano przy wspaniałej pogodzie a na starcie stawiała się rekordowa liczba 29 zespołów. Zawodnicy wychodzili wcześniej rano ze schroniska w Roztoce, by po przedostaniu się do Morskiego Oka, wystartować stamtąd „zbirowo” do podbiegu na czas, który kończył się na przełęczy Szpiglasowej (2114 m).

Ten odcinek o deniwelacji 716 m, w swej części końcowej wymagający użycia raków, najszybciej pokonał najlepszy obecnie w Polsce zespół Mariusz Wargocki (Tatra Team, PKL Zakopane) z Szymonem Zachwieją (GOPR Podhale ze Szczawnicy) w czasie zaledwie 46 min. 55 sek., wyprzedzając o 3 min. 10 sek. drugi na tym podbiegu zespół Jerzy Zachwieja (też GOPR ze Szczawnicy) z Tomaszem Brzeskim (KW Nowy Sącz). W dokładnie dwie minuty za nimi nadbiegł trzeci zespół Aleksander Szwed z Bartłojem Golcem, obaj z KS Kandahar ze Śląska.

Po osiągnięciu przełęczy Szpiglasowej następował moment „odpoczynku”: zawodnicy musieli zaliczyć punkt widokowy na Szpiglasowym Wierchu (2172 m), po czym zjechać na linie około 40 m do śnieżnego pola po północnej stronie przełęczy. Jak się okazało, prawie połowa uczestników wykonywała taki zjazd na linie po raz pierwszy w życiu. Około sto metrów niżej zaczynał się następny odcinek na czas, polegający na przejeździe, też w parach, terenowego „super-giganta”, którego meta była ustawiona na taflí Wielkiego Stawu w dolinie Pięciu Stawów (1665 m). Dzięki doskonałym warunkom śniegowym ten zjazd był relatywnie bezpieczny a jednocześnie szybki, na stromej prostej przed metą prędkość wielu zespołów z pewnością przekroczyła 100 km/godz.

Tutaj zwycięzcami okazali się znowu Szymon Zachwieja z Mariuszem Wargockim, z czasem 1 min. 17,84 sek., ale na drugim miejscu znalazł się już zespół mieszany, żeńsko-męski Justyny Żyszkowskiej z Grzegorzem Wierciochem, oboje z Tatra Team Zakopane z czasem 1 min. 32,33 sek. Ten ze-

spół miał także bardzo dobry czas podbiegu (57 min. 17 sek.) i zajął pierwsze miejsce w drugiej grupie klasyfikacyjnej, złożonej z zespołów żeńskich oraz mieszanych. Drugie miejsce w tej grupie przypadło Magdzie Derezińskiej z Przemysławem Sobczykkiem – oboje z Zakopanego, ale występują w barwach KS Kandahar. Podobną przynależność klubową oraz miejsce zamieszkania miał i trzeci zespół z tej grupy, Klaudia Tesz z Przemysławem Knapem, którzy uzyskali trzeci czas zjazdu 1 min. 34,38 sek, wyprzedzając męsko-męski zespół z KW Kraków Andrzej Rostworowski – Daniel Kessler o zaledwie 0,3 sek.

Po zjeździe na Wielki Staw zawodników czekało jeszcze „fakultatywne” podejście na Kozi Wierch (2291 m), skąd następował „przyjemnościowy” zjazd, w doskonałych warunkach, do schroniska w Pięciu Stawach. Całą tą wysokogórską trasę, o deniwelacji około 1700 m, pokonało aż 25 zespołów, mieszcząc się w regulaminowym czasie 7,5 godziny.

Piękna pogoda spowodowała, że nawet późny obiad zawodnicy woleli spożywać na słońcu przed schroniskiem, w którym stłoczyli się dopiero koło godziny 17, by asystować przy odczytaniu wyników, wręczeniu pucharów, dyplomów i oczywiście rozdaniu licznych nagród oraz okolicznościowych koszulek. Nagrody te ufundowały firmy HIMO-untain, TOPR, oraz Tendon. Pomimo, że najlepsze, wymienione wyżej zespoły zjechały w doliny zaraz po rozdaniu nagród, to w schronisku pozostało jeszcze na noc dość dużo uczestników oraz organizatorów, a wśród nich naczelnik TOPR Jan Krzysztof, oraz b. dyrektor PISM, prof. Roman Kuźniar. Dzięki współpracy tych osobistości, przy osobistym wsparciu prowadzącej schronisko Marii Marty Krzeptowskiej, zabawa taneczna trwała aż do 1 w nocy. A w niedzielę oczywiście, wypoczęci uczestnicy oraz organizatorzy udali się na wycieczki narciarskimi szlakami przestronnej Doliny Pięciu Stawów i jej okolic.

Marek Głogoczowski

W hali i w plenerze

Arkadiusz Kamiński

Mistrzostwa Europy w bulderingu

Pierwszą imprezą sportową 2007 roku, były wspinaczkowe Mistrzostwa Europy w bulderingu. Z powodu odwołania tej konkurencji na ME 2006 w Jekaterinburgu, impreza ta musiała zawitać na wyspy Brytyjskie, do Birmingham. Zawody odbyły się w dniach 16-18 marca. Nasz kraj reprezentowała pięcioosobowa ekipa, w skład której wchodził: Tomasz Oleksy, Grzegorz Karolak, Tomasz Wojciechowski, Agata Wiśniewska, Edyta Ropek. Niestety start naszych wypadł słabo, Tomek wywalczył 22 miejsce, Grzegorz 45 miejsce, Tomek 56 miejsce, Agata była 24 -ta, a Edyta 31-pierwsza. Mistrzami Europy 2007 zostali: Austriak David Lama i Francuska Juliette Danion.

Podczas mistrzostw w Birmingham rozegrane zostały również zawody w konkurencji skoku do chwytu – Guinness Word Rekord Dyno Competition. W zawodach z powodzeniem udział wzięła Edyta Ropek, która zwyciężyła w rywalizacji kobiecej, pokonując dotychczasowy rekord Guinness'a, który wynosił 2,1 metra. Edyta oddając udany skok, podniosła poprzeczkę do wysokości 2,175 metra. Mimo wcześniejszej, głośniejszej zapowiedzi organizatorów, informującej o biciu rekordu zapisanego w Księdze Rekordów Guinnessa, wynik osiągnięty przez Edytę, nie został uznany za oficjalny. Jak dzień później wytłumaczyli organizatorzy na łamach serwisu Planet Fear, zawody nie spełniły wszystkich wymogów formalnych.

Puchar Świata w bulderingu Erlangen 30-31.03

Pod koniec marca w Niemieckim Erlangen rozegrano pierwszą tegoroczną edycję Pucharu Świata w bulderingu. W zawodach udział wzięło 82 zawodników z 17 państw. Naszą niewielką reprezentację tworzyli Tomasz Oleksy, Edyta Ropek i Aleksandra Kodzik. Wyśmienicie w eliminacjach i półfinałach radziła sobie francuska Juliette Danion, tegoroczna Mistrzyni Europy z Birmingham. W walce finałowej musiała jednak uznać wyższość znanej dobrze ze startów w Polsce Olgi Szałaginy, która w pięknym stylu sprzątnęła pierwsze miejsce Francuzce sprzed nosa. Trzecie miejsce przypadło Belgijce Chloé Graftiaux. Rywaliza-

cja panów, również stała na najwyższym poziomie. Po eliminacjach i półfinałach, na prowadzenie wysunął się znakomity fin Nelle Hukkataival, jednak jak to bywa w sporcie, do ostatniej chwili nie można być pewnym zwycięstwa. Finał bulderów mężczyzn przyniósł ostateczne rozstrzygnięcie. Duet rodzinny Szałaginów, wrócił do Ukrainy z dwoma złotymi medalami. Michał Szałagin zdystansował rywalów, pokonując wszystkie cztery finałowe problemy. Drugie miejsce, z ilością trzech topów, wywalczył Austriyak Kilian Fischhuber, zaś trzecie, honorowe dla Niemców, miejsce wywalczył reprezentant gospodarzy, młody Jonas Baumann. Z naszej reprezentacji nieźle wypadł tylko Tomasz Oleksy, który po awansie do półfinału wywalczył 10 miejsce. Naszym paniom poszło gorzej, Edyta Ropek uplasowała się na 25 pozycji, a Aleksandra Kodzik na 30.



Edyta Ropek na najwyższym podium Pucharu Świata w Tarnowie

Fot. A. Kamiński

Sofia 20-22.04

Drugą tegoroczną edycję Pucharu Świata w bulderingu rozegrano w Sofii. W zawodach udział wzięli zawodnicy z 23 państw: 56 mężczyzn i 35 kobiet. Nie zabrakło naszej reprezentacji, w skład której wchodził: Agata Wiśniewska, Edyta Ropek, Aleksandra Kodzik, Tomasz Oleksy, Grzegorz Karolak. Niestety, podobnie jak w Erlangen, start naszych wypadł słabo, najlepszą lokatę wywalczyła Agata – 26 miejsce, tuż za nią uplasowała się Edyta – 28 miejsce, zaś Aleksandra zajęła 35 miejsce. Nasi panowie wywalczyli odpowiednio: 30 miejsce – Tomek i 31 miejsce – Grzegorz. W zawodach w Sofii zwyciężył Czech Tomas Mrazek i Rosjanka Julia Abramczuk.

Grindelwald 8-9.06

W tym znanym szwajcarskim kurorcie rozegrano kolejną eliminację Pucharu Świata w bulderingu. W zawodach wystartowało 61 mężczyzn i 39 kobiet, wśród nich dwaj Polacy Tomasz Oleksy i Grzegorz Karolak. Panowie wywalczyli odpowiednio, Tomek – 23 miejsce, Grzegorz – 56 miejsce. Zwyciężyli Austriak Kilian Fischhuber i Słowenka Natalia Gros.

Fiera di Primiero 22-23.06

U podnóża włoskich Dolomitów odbyły się szóste już zawody bulderowe z cyklu o Puchar Świata 2007. Niezły start zanotował nasz reprezentant Tomasz Oleksy, który wywalczył 11 miejsce. Zawody wygrali Rosjanin Dmitrij Szarafutdinow i Słowenka Natalia Gros.

Nienajlepsze wyniki w początku sezonu i absencja w zawodach pucharowych w austriackim Hall (27-28.04) oraz na francuskiej wyspie Reunion (4-5.05), sprawiają, że Polacy nie mogą liczyć na dobre miejsca w końcowej klasyfikacji Pucharu Świata 2007 w bulderingu.

Puchar Świata w konkurencji na czas Tarnów 14-15.04

Były to pierwsze w Polsce, a więc dla nas historyczne zawody o Puchar Świata we wspinaczce sportowej – konkurencji na czas. Impreza w Tarnowskiej hali TOSiR zgromadziła liczną rzeszę kibiców wspinaczki sportowej, zaś internetowa relacja „live” dała możliwość przeżywania emocji sportowych publiczności z całego świata. Na zawody w Tarnowie przyjechała cała światowa czołówka



PŚ w Chamonix. Maja Vidmar - I miejsce w prowadzeniu.

Fot. A. Piunowa

zawodników, na czele z najbardziej utytułowanymi: Jeleną Repko, Anną Saulewicz, Walentiną Juriną, Tatianą Ruigą, Jewgienijem Wajczechowskim, Sergejem Sinicynem czy Maksimem Stienkwojem. Nasz kraj reprezentowała liczna kadra, a szanse medalowe wiązaliśmy z występem Tomasza Oleksego i Edyty Ropek. W zawodach w sumie udział wzięło 19 pań i 33 panów, w tym aż 14 zawodników z Polski.

Zawodnicy biegali na specjalnie ułożonych drogach, z chwytów w barwach narodowych, biało-czerwonych. Drogi pań były nieco łatwiejsze, za to kluczyły na kształt litery „S”; drogi męskie przebiegały przez niewielkie przewieszenie w połowie ich długości, które skutecznie spowolniało niektórych zawodników.

W eliminacjach zawodnicy biegali o wejście do finałowej 16-nastki. Z naszej kadry, do kolejnej rundy awansowali z dobrymi czasami: Edyta Ropek, Tomasz Oleksy, a także bardzo ładnie biegająca Marta Lenartowicz, Agnieszka Szczepaniec, Andrzej Mecherzyński-Wiktor i również obiecujący młody zawodnik Jakub Pocięcha.

Finały były widowiskiem na najwyż-

szym światowym poziomie. Edyta Ropek na podium. 14 metrową drogę Rosjanin Jewgienij Wajczechowski pokonał w 7,48 sekundy!!! Zaś najlepsze z pań uzyskały czasy w okolicach 14 sekund! Przy ogromnym aplauzie publiczności, która gromko dopingowała „naszych” rozegrano biegi o wejście do ósemki i do czwórki. Sztuki tej udało się dokonać Edycie Ropek i Tomkowi Oleksmu, ich bardzo dobre czasy w eliminacjach, zapewniły dobrą pozycję startową w parze ze słabszymi od siebie zawodnikami. Jednak po awansie do czwórki, nie było już tak łatwo. Przeciwnicy z którymi przyszło im się zmierzyć byli bardzo silni, więc walka była niezwykle zacięta. Edyta Ropek znakomicie poradziła sobie ze swoimi rywalkami, pokonując w biegu o wejście do ścisłego finału Rosjankę Tatianę Ruigę, a następnie w biegu o złoty medal również reprezentantkę Rosji Annę Saulewicz.

Dla Edyty Ropek, jest to pierwszy w jej życiu złoty medal na zawodach międzynarodowych; zwycięstwo cieszy podwójnie, gdyż mogła wygrać przed własną publicznością.

Tomek Oleksy niestety miał pecha, w biegu o wejście do ścisłego finału zbyt słabo uderzył w wyłącznik pomiaru czasu. Nie wyłączył go i do ścisłego finału awansował Węgier Csaba Komondi. W małym finale, w bardzo wyrównanej walce, Tomek przegrał zaledwie o 12 setnych sekundy z powracającym do wielkiej formy Siergiejem Sinicynem.

W rywalizacji męskiej zwyciężył niesamowity Rosjanin Jewgienij Wajczechowski. Pozostali nasi reprezentanci startowali ze zmiennym szczęściem, dla nich z pewnością start w imprezie tej rangi, to doskonała lekcja i możliwość treningu z lepszymi od siebie zawodnikami.

Puchar Świata w Tarnowie to nie tylko duży sukces medalowy Edyty Ropek, to także ogromny sukces organizacyjny dla naszego kraju. Zawody odbyły się dzięki zaangażowaniu przede wszystkim Tarnowskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji, władz miasta Tarnowa, oraz pomocy Polskiego Związku Alpinizmu. Całość wydarzenia spoił w jedno, były przewodniczący KWS, Marcina Bibro. Zawody stały na najwyższym światowym poziomie, dorównując edycjom organizowanym we Włoszech, Francji, Niemczech czy Chinach. Delegat IFSC Wolfgang Wabel potwierdził, że w Tarnowie w przyszłości można zorganizować zawody tej rangi w konkurencji prowadzenie.

Trento 1.05

Po wielkim sukcesie organizacyjnym, jakim były zawody pierwszej eliminacji Pucharu Świata w Tarnowie, przyszedł czas na sprawdzian dla Włoskiego Trento. Właśnie w tym mieście, na przepięknej starówce, tuż przy zabytkowej katedrze, w dniu 1.05 rozegrano drugą eliminację pucharu w konkurencji na czas. Na sztucznej ścianie firmy Plasticrock ułożono cztery równoległe drogi, osobno dla pań, osobno dla panów. Niestety ściana ta nie jest zbyt lubiana przez zawodników, brak tarcia i duża śliskość paneli z jakich jest wykonana, zmusza biegaczy do bardzo precyzyjnego wspinania się po chwytach.

Zawody w Trento rozpoczęły eliminacje. Bardzo dobry czas uzyskała złota medalista z Tarnowa, Edyta Ropek, dzięki czemu uplasowała się na dość dobrej, czwartej pozycji. Łukasz Świrk również pobiegł ładnie w eliminacjach i walkę o wejście do finałowej ósemki rozpoczynał z jedenastego miejsca. Niestety dalszy etap zmagania nie był zbyt szczęśliwy dla naszych zawodników, Edycie przyszło zmierzyć się z bardzo dobrze biegającą Anną Saulewicz z Rosji. W biegach 1/2 finału, Edyta w obu biegach, przegrała z rywalką o niecałe dwie sekundy i z czasem 27,38 sekundy uplasowała się ostatecznie na ósmej pozycji. Łukasz w biegach 1/8 finału trafił na bardzo dobrego zawodnika z Węgier Csabę Komondi, z którym w zaciętej walce przegrał zaledwie o półtorej sekundy.

W zmaganiach kobiet zwyciężyła



Łukasz Świrk w międzynarodowych startach najlepiej wypadł w Val Daone, zajmując czwarte m-ce. Fot. J. Kurczab

młodziutka reprezentantka Wenezueli Rosmery Da Silva. Rywalizacja męska, to także zwycięstwo młodości, Rosjanin Anatolij Skripow w finale pokonał bardziej doświadczonych zawodników.

Chamonix 11-13.07

Edyta Ropek wywalczyła 7. miejsce w eliminacji Pucharu Świata we wspinaczce na czas, który rozegrano 12 lipca wieczorem we francuskim Chamonix. W rywalizacji udział wzięło 19 pań z całego świata. Po udanych eliminacjach, w których Edyta miała drugi najlepszy czas, w biegach o wejście do ósemki Edyta rozstawiona była ze słabszą zawodniczką. Udało się jej wyeliminować przeciwniczkę, dzięki czemu przeszła do kolejnej rundy. Kolejny bieg, o wejście do czwórki, niestety był dość pechowy dla Tarnowianki. Rozstawiona z jedną z najlepszych biegaczek świata, Rosjanką Anną Saulewicz, Edyta wygrała bieg na pierwszej drodze, niestety w drugim biegu Edyta nie usłyszała sygnału dźwiękowego i wystartowała z opóźnieniem, tracąc cenne sekundy – musiała uznać wyższość przeciwniczki. Ostatecznie Edyta została sklasyfikowana na 7-mej pozycji.

W konkurencji mężczyzn wystartował tylko jeden Polak – Łukasz Świrk. Nie przeszedł on rundy kwalifikacyjnej i ostatecznie zajął 28 miejsce.

Val Daone 21-22.07

Edyta Ropek zdobyła brązowy medal w czwartej eliminacji Pucharu Świata 2007 na czas, którą rozegrano we włoskim Val Daone. Drugi zawodnik z polskiej reprezentacji, Łukasz Świrk, także zanotował udany start, zajmując czwarte miejsce.

Zawody w Val Daone rozgrywane są w niesamowitej scenerii, w wysokogórskiej dolinie, na ogromnej konstrukcji zapory wodnej zwanej Speed Rock, położonej na wysokości 1800 m, którą otaczają tysięczne szczyty. Rywalizacja w konkurencji wspinaczki na czas, odbywa się na specjalnie przygotowanych 26 metrowych drogach wspinaczkowych, które od 7 lat pozostają niezmiennione (osobne dla kobiet, osobne dla mężczyzn), dzięki czemu istnieje możliwość ustanawiania rekordów szybkościowych. Co roku zawody rozpoczynają piętnastominutowe praktyki na dro-

gach, tak by nowi zawodnicy mieli możliwość poznania sposobu ich przejścia. Pierwszego dnia imprezy rozegrano eliminacje, po których poznaliśmy finałową ósemkę kobiet i szesnastkę mężczyzn. W tej rundzie Edyta uzyskała 7 czas i w ósemce rozstawiona została z reprezentantką Rosji Anną Saulewicz. Łukasz wywalczył 11 pozycję, więc w szesnastce pobiegł z zawodnikiem z Wenezueli Leonelem Da Las Salas.

Finałowy dzień zawodów, to ogromne show, na które, mimo tak wysokiego położenia miejsca rozgrywek, przybyła liczna publiczność. Włoscy organizatorzy zapewnili wiele atrakcji dla widzów, a w szczególności dla rodzin z dziećmi. Przy okazji Pucharu Świata odbyły się zawody dla najmłodszych „Spider Kids”, a wspólny rodzinny piknik i włoskie przysmaki, dodały uroku całej imprezie.

Od rana zawodnicy walczyli o wejście do ścisłego finału. W biegach o wejście do czwórki Tarnowianka rozkręciła się wygrywając pierwszy bieg z nieznaczną przewagą, a w drugim biegu Rosjanka widząc przewagę Edyty po prostu puściła się chwytów odpadając od ściany. Łukasz również miał dużo szczęścia, eliminując Wenezuelczyka z przewagą niecałej sekundy przeszedł do ósemki. W tej rundzie również zawalczył, w biegach z młodym zawodnikiem z Rosji Walerym Worobiowem zwyciężył przewagą półtorej sekundy.

Po dwu godzinnej przerwie, nadeszła pora na najważniejszą część zawodów – biegi o wejście do małego i dużego finału. Rozstawiona w parze z bardzo dobrze biegającą Walentiną Juriną z Rosji, Edyta musiała uznać



Agata Wiśniewska - zwyciężczyni PP w bulderingu w Tarnowie.

Fot. A. Kamiński



Zwycięzca konkurencji prowadzenie na PP w Tarnowie -
Tomasz Oleksy.

Fot. A. Kamiński

wyższosc przeciwniczki i awansowała do małego finału. W walce o brązowy medal pobiegła z aktualną mistrzynią świata Jeleną Riepką z Ukrainy. Po całodziennych zmaganiach i biegach na tak długich drogach wspinaczkowych, widać było duże zmęczenie zawodniczek, zwłaszcza, że miejsce startowe znajdowało się na platformach 10 metrów nad ziemią – do których też trzeba było się dospinać. Edyta nieznacznie wygrała bieg na pierwszej drodze, widać było, że Ukraince brakowało tchu, ociągała się z zajęciem pozycji startowej – upominana przez sędziego głównego w końcu wystartowała do ostatniego biegu. Edyta szła jak burza – mistrzyni świata, widząc przewagę jaką wypracowała sobie Polka, w połowie drogi poddała się. Edycie pozostało dobiec do wyłącznika czasu.

Łukasz w biegu o wejście do dużego finału rozstawiony był z jednym z najlepszych zawodników świata Jewgienijem Wajczechowskim z Rosji. O klasie tego biegu i szybkości z jaką obaj zawodnicy pokonywali drogi, świadczyć może fakt, że Rosjanin pobił swój własny rekord czasu – 16.26 sekundy (ustanowiony w 2006 roku), śrubując go do 15.66 sekundy. Łukasz w drugim biegu musiał uznać wyższosc rywala i od-

padł od ściany w połowie drogi. W małym finale, do walki o brązowy medal, Polak stanął w szranki z Aleksandrem Kostierinem. Niestety, nie udało się pokonać Rosjanina, ale czwarte miejsce tego młodego zawodnika jest ogromnym sukcesem.

W rywalizacji kobiet zwyciężyła Rosjanka Walentina Jurina, druga była Tatiana Ruiga, brąz zdobyła Polka Edyta Ropek. W rywalizacji męskiej wygrał, już po raz trzeci w zawodach na tamie, Rosjanin Sergiej Sinicyn, drugi był Jewgienij Wajczechowski, a trzeci wspomniany już Aleksander Kostierin.

Po czterech eliminacjach Pucharu Świata Edyta wyszła na trzecią pozycję w klasyfikacji 2007, a Łukasz Świrk przesunął się na 12 miejsce.

Puchar Świata w prowadzeniu Imst 11-12.05

Pierwsza tegoroczna edycja Pucharu Świata w konkurencji prowadzenie odbyła się w austriackim Imst. W dużym i nowoczesnym kompleksie wspinaczkowym (912 m²) walczyło 57 zawodników i 42 zawodniczki. Nasz kraj reprezentowali Kinga Ociepka, Mar-



Marcin Wszolek i Tomasz Oleksy na MP w Warszawie podzielili się tytułami. Tomek był pierwszy w bulderingu a Marcin w prowadzeniu.

Fot. J. Kurczab

cin Wszółek i Rafał Porębski.

Niestety start naszych zawodników wypadł średnio, najlepiej spisała się Kinga, której udało się awansować do półfinału, gdzie ostatecznie uplasowała się na 16 pozycji. Nasi panowie nie mieli już takiego szczęścia, a miejsca zajęte w ostatniej dziesiątce, świadczą o słabej międzynarodowej pozycji polskiego męskiego wspinania w tej konkurencji. Marcin zajął 50 miejsce, a Rafał był 52. Zwyciężyli Austriacy Angela Eiter i David Lama.

W pozostałych pucharowych zawodach w prowadzeniu – w Zürichu (15-16.06) i Chamonix (11-13.07), nasi zawodnicy nie wystartowali.

Puchar Polski w Tarnowie

W dniach 31.05-01.06.2007 w Tarnowie rozegrana została pierwsza eliminacja Pucharu Polski we wspinaczce sportowej, po raz pierwszy we wszystkich trzech konkurencjach wspinaczkowych. Organizatorami zawodów byli Polski Związek Alpinizmu i klub MKS Tarnovia.

Pierwszego dnia zawodów rozegrane zostały eliminacje pań i panów w konkurencji bulderingu, drugiego dnia odbyły się półfinały mężczyzn. Zaś wieczorne finały Pucharu Pol-

ski w bulderingu to widowisko na najwyższym krajowym poziomie. Emocje w rywalizacji zarówno męskiej, jak i żeńskiej, sięgały zenitu. W bardzo wyrównanej walce, aż do ostatnich sekund imprezy, nie było wiadomo kto zostanie zwycięzcą. Równoległe zmagania z problemami dziewczyn i chłopaków, podziwiała licznie zgromadzona publiczność, kibicując swoim faworytom.

Bardzo wyrównaną walkę stoczyły cztery zawodniczki: Anna Drozdowska, Oliwia Bechyně Goś, Agata Wiśniewska i Edyta Ropek. W trakcie trwania finałów, dziewczyny po każdym problemie zmieniały się na prowadzeniu. Różnorodny charakter przystawek, przygotowanych przez kompozytorów: Adama Pustelnika, Grzegorza Grochala, Maćka Oczko i Łukasza Dudka, sprawił, że każda z pań miała okazję wykazać się swoimi umiejętnościami. Ostatecznie najlepszej z dziewczyn, Agacie Wiśniewskiej, udało się pokonać dwa problemy w pięciu próbach i cztery bonusy w czterech próbach. Tuż za Agatą, tylko minimalną różnicą prób do bonusu, z tą samą ilością TOPów i Bonusów, uplasowała się Oliwia Bechyně-Goś. Edyta Ropek, praktycznie na każdym problemie była blisko TOPu, niestety udało się jej pokonać tylko jedną przystawkę i ostatecznie uplasowała się na trzeciej pozycji.

Zmagania męskie to równie emocjonujący spektakl, w którym w rolach głównych wystąpili Andrzej Mecherzyński-Wiktor, Marcin Wszółek, Tomasz Oleksy. Podobnie jak w rywalizacji dziewczyn, nie było wiadomo, kto zwycięży aż do ostatniego problemu. Bardzo wymagające przystawki, skutecznie zrzuciły naszych najlepszych krajowych zawodników. Walka na ostatnim problemie wyjaśniła jednak wszystko, a wydawało by się, że zmęczony Tomek Oleksy nie zdoła nadrobić straty do Marcina czy Andrzeja. Jednak przyływ mocy i motywacja wspierana dopingiem Tarnowskiej publiczności, sprawiły, że Toma ukończył ostatni problem i nadrobił straty do prowadzącego Marcina Wszółka. Różnicą tylko jednej próby do bonusu, z tą samą ilością – dwóch TOPów i trzech bonusów – zwyciężył Tarnowianin. Na drugiej pozycji uplasował się Marcin Wszółek, a na trzeciej Andrzej Mecherzyński Wiktor.

Kolejny dzień zmagania z grawitacją, najlepszych polskich wspinaczy, rozpoczęły eliminacje w konkurencji prowadzenie. Mimo niesprzyjającej aury, organizatorom udało się



W eliminacjach MP na czas walczą Maciej Kalita i Jakub Jodłowski. Fot. J. Kurczab

wstrzelić w okno pogodowe, dzięki czemu poznaliśmy finalistów.

Po sobotnich eliminacjach, przerywanych przez fatalną pogodę, zawodnicy awansowali bezproblemowo do finałów. Tomasz Oleksy nie dał żadnych szans rywalom i pewnie sięgnął po zwycięstwo. Drugie miejsce wywalczył Jurij Dolob, a trzecie znakomity junior, Mateusz Baran. Wśród kobiet zwyciężyła Oliwia Bечyne –Goś, druga była Agata Wiśniewska, a trzecia Katarzyna Jurek.

Losy zwycięstwa w czasówkach tarnowskiej eliminacji Pucharu Polski do samego końca była sprawą otwartą. Zwłaszcza rywalizacja panów była bardzo wyrównana, a o kolejności decydowały ułamki sekund. Edyta Ropek i Łukasz Świrak potwierdzili swoją znakomitą formę, wygrywając w Tarnowskich zawodach.

Mistrzostwa Polski Warszawa 14-17.07 Buldering

W rozegranych w niedzielę 15 lipca finałach wspinaczki po bulderach, bezkonkurencyjna okazała się Edyta Ropek. Tarnowiance udało się pokonać aż trzy, z czterech finałowych problemów. Druga z zawodniczek, Agata Wiśniewska, zdołała ukończyć tylko jeden bulder i zdobyć bonusy na czterech, zaś Anna Drozdowska, która zajęła trzecią pozycję, zrobiła tylko jeden problem. Tytuł Mistrzyni Polski w bulderingu jest pierwszym w karierze Edyty, która specjalizując się do tej pory w czasówkach, posiada na swoim koncie aż sześć tytułów mistrzowskich w konkurencji szybkościowej.

Zawody w Warszawie, były również wliczane do klasyfikacji generalnej Pucharu Polski 2007 w bulderingu. Po trzech eliminacjach, w finałowych zmaganiach na Placu Defilad w Warszawie, Edyta po raz drugi w karierze sięgnęła po Puchar Polski w tej konkurencji.

W rywalizacji męskiej, bezkonkurencyjny okazał się Tomasz Oleksy, który w finale zdystansował rywali, podobnie jak Edyta, pokonując aż trzy z czterech bulderów. Spora niespodzianką z pewnością jest pozycja Jacka Matuszka, który wywalczył wicemistrzostwo Polski w bulderingu. Ten młody zawodnik, potwierdził swoją formę (w PP we Wrocławiu również wywalczył drugie miejsce w bulderingu) i osiągnął lepszy wynik, od bardziej doświadczonych kolegów, min. Marcina Wszółka, któ-

ry zajął trzecie miejsce.

Tomek zwyciężył również w Pucharze Polski 2007, po trzech wygranych eliminacjach, bez wątplenia, udowodnił swoją pozycję lidera, na polskiej scenie bulderowej.

Prowadzenie

We wtorek 17 lipca uczestnicy Mistrzostw Polski we wspinaczce sportowej, rozgrywanych pod Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie, rywalizowali w konkurencji prowadzenie. Wyzwanie wspinaczkowej ściance, której ostatni odcinek trzeba było pokonać niemal do góry nogami, rzuciło 22 zawodników i 12 zawodniczek.

Już eliminacje pokazały, kto będzie liczyć się w walce o medale. Tylko trzech wspinaczy pokonało ścianę. Piotr Bunsch, Tomasz Oleksy i Marcin Wszółek daleko w tyle pozostawili pozostałych pretendentów do podium. Wśród kobiet jedynie Agata Wiśniewska sprostała zadaniu i wspięła się na szczyt karkołomnej konstrukcji.

Biegi finałowe potwierdziły wyniki eliminacji. Marcin Wszółek wspiął się najwyższym spośród ośmiu finalistów i to jemu przypadł tytuł mistrza Polski w prowadzeniu. Batalia o srebrny medal rozegrała się między Tomaszem Oleksym i Piotrem Bunschem. Minimalnie lepszy okazał się Oleksy. Drugie miejsce, dzięki doskonałym występom we wcześniejszych zawodach, wystarczyło Tomkowi Oleksemu do zdobycia tegorocznego Pucharu Polski.

Finał kobiet to popis dwóch zawodniczek – Agaty Wiśniewskiej i Aleksandry Przybysz. Obie były poza zasięgiem rywalek, osiągając ten sam wynik w finale. W tej sytuacji o kolejności na podium decydowały wyniki z eliminacji – złoty medal zdobyła Agata Wiśniewska, a Aleksandra Przybysz stanęła na drugim stopniu podium. Trzecie miejsce wywalczyła Paulina Guz.

Czas

Edyta Ropek jest niepokonana w konkurencji szybkościowej od 5 sezonów startowych, jest to jej 21. z kolei zwycięstwo w zawodach rangi pucharowej i mistrzowskiej. Edyta w biegu finałowym walczyła z Martą Lenartowicz, dobrze zapowiadającą się zawodniczką z Krakowa, która ostatecznie zajmując drugie miejsce, po raz pierwszy w życiu zdobyła wicemistrzostwo Polski w czasówkach. Mały finał – rozgrywkę o brązowy medal stoczyły Agnieszka Szczepaniec i Pauli-

na Guz. Ostatecznie zwyciężyła ta druga.

Zmagania mężczyzn, to pasjonujący pojedynek o wejście do finału, pomiędzy byłym mistrzem Polski Łukaszem Świrkiem, a Tomaszem Oleksym. W najbardziej wyrównanym i najszybszym biegu mistrzostw zwyciężył Tomek, przechodząc do wielkiego finału. Łukaszowi pozostała tylko walka o brąz. W biegu o złoty medal Tomek zmierzył się z reprezentantem gospodarzy mistrzostw Jakubem Jodłowskim. Niestety, już po pierwszym biegu, gdy Kuba nie ukończył drogi, zwycięstwo Tomka było przesądzone. W małym finale, w równie zaciętej walce, Łukasz Świrk rywalizował z Mateuszem Puzoniem. Brązowy medal Mistrzostw Polski zdobył Łukasz.

Zawody w Warszawie, były również finałową eliminacją Pucharu Polski w konkurencji na czas. Zwycięzcami całego cyklu zawodów, bezapelacyjnie zostali Tarnowianie – Edyta Ropek i Tomasz Oleksy. Po raz pierwszy przyznane zostały też tytuły Mistrzów Polski w Kombinacji (w klasyfikacji byli brani pod uwagę zawodnicy startujący we wszystkich trzech konkurencjach). Wśród kobiet tytuł przypadł Katarzynie Jurek, a wśród mężczyzn – Tomaszowi Oleksemu.



Adam Ondra był faworytem w swojej kategorii wiekowej i nie zawiódł oczekowań.

Fot. J. Kurczab

Puchar Europy Juniorów w Warszawie

W dniach 21-22 lipca, w sąsiedztwie warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki, rozegrano kolejną eliminację Mistrzostw Europy Juniorów (European Youth Series) w konkurencjach: prowadzenie i na czas. Swoje umiejętności prezentowali młodzieżowcy, juniorzy i juniorzy młodszy.

Polacy zakończyli imprezę z czterema medalami, we wszystkich trzech kolorach. Większość kraźków zdobyli „szybkościowcy”. Podobnie jak seniorzy, również nasi najmłodszy wspinacze najlepiej sobie radzą z konkurencjami szybkościowymi.

Złoto w „czasówce” w najstarszej grupie wiekowej juniorów zdobył Jędrzej Komosiński. Paulina Guz stanęła na drugim stopniu podium, Maciej Kalita na najniższym. Najlepszym zawodnikiem w konkurencji prowadzenie okazał się Piotr Bunsch, który zdobył srebrny medal w kategorii młodzieżowcy. Tuż za podium, na dobrej i pechowej zarazem czwartej pozycji, uplasowali się Agnieszka Szczepaniec i Maciej Dobrzyński.

Wśród obcokrajowców bez większych niespodzianek. Faworyci zajmowali na ogół medalowe pozycje, co najwyżej zamieniając się miejscami na podium Świetną dyspozycję potwierdzają m.in. Cześci, którzy z powodzeniem łączą sukcesy w skałach i na sztucznych ścianach. Nie zawiódł rewelacyjny „małolat” Adam Ondra, zdecydowanie zdobywając w swojej kategorii wiekowej złoty medal. W poszczególnych kategoriach zwyciężyli:

Chłopcy – prowadzenie:

Felix Neumärker GER (młodzieżowcy)

Jakob Schubert AUT (juniorzy)

Adam Ondra (CZE) (juniorzy młodszy)

Dziewczeta – prowadzenie

Mathilde Brumagne BEL (młodzieżowcy)

Juliane Wurm GER (juniorzy)

Johanna Ernst AUT (juniorzy młodszy)

Dziewczeta – czas

Stefanie Kofler AUT (młodzieżowcy)

Anastasia Jermołaewa RUS (juniorzy)

Dinara Fachritdinowa RUS (juniorzy młodszy)

Chłopcy – czas

Jędrzej Komosiński POL (młodzieżowcy)

Ilja Sultanow RUS (juniorzy)

Bogdan Posmasznyj RUS (juniorzy młodszy)

Pełne wyniki:

Zawody krajowe: www.pza.org.pl

Zawody m-nar.: www.ifsc-climbing.org

Turcja – Góry Bolkar 2007

Andrzej Wojtoń

Pasma Bolkar (Bolkar Dağları) leży w zachodniej części Taurusu Środkowego w południowej Turcji. Ma około 120 km długości i położone jest między miejscowościami Karaman od zachodu, Nigde od północy i Mersin od południa. Góry praktycznie w całości zbudowane są z wapienia, z najwyższymi szczytami, Medetsiz Tepe (3524 m) i Aydos Dağ (3480 m), przekraczającymi trzy tysiące metrów. Od południowego zachodu pasmo graniczy z górami Akçali, a od północnego wschodu z górami Ala, a to właśnie w tych pasmach mamy trzy tureckie tysiączki.

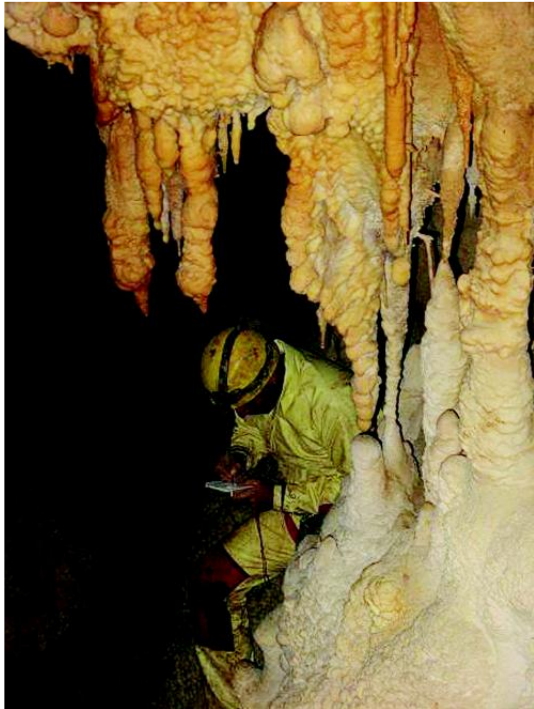
W górach Bolkar działa klub „ASKAT”, który swą siedzibę ma w odległym Izmirze i góry te eksploruje od początku lat dziewięćdziesiątych. Do tego roku było sześć wypraw, ostatnia dość dawno, bo w roku 2001! Jak na tak rozległy rejon eksploracja jest dopiero w fazie początkowej. Przy otworach znanych już jaskiń znajdujemy napisy farbą z nazwą klubu i rokiem odkrycia. Turcy mają też oryginalny system zaznaczania jaskiń. Przy znalezionym i namierzonym otwo-



rze zaznaczają kółko, jeśli jaskinia była sprawdzana i są szanse na dalszą eksplorację, kółko jest raz przekreślone, jeśli eksploracja jest definitywnie zakończona, kółko przekreślone jest krzyżykiem.

Jadąc do Turcji wiedzieliśmy, że trudno będzie odkryć coś dużego, czytaj głębokiego, choć i ciągami poziomymi nie pogardzimy, bo jak pisał Fatih Büyüktopçu, prezes „ASKATU” kierujący eksploracją na tym terenie, to w całym masywie zna on mało głębokich i długich jaskiń. Specjalnie piszę „zna on”, ponieważ według jego stanu wiedzy tylko trzy jaskinie w masywie przekroczyły głębokość 100 m (Atlilar -410 m, Catal Obruk - 245 m i Ösün Düdeni -155 m). Nic nie wiedział, i nie mógł znaleźć w dostępnych mu materiałach, informacji o dwóch jaskiniach odkrytych na wyprawach Speleoklubu Częstochowskiego, działających w Górach Bolkar w 1995 i 1997: PL-5 J. Futurystyczna (-160 m) i PL-3 J. Białego Kepeka (-235 m). Nasuwa się pytanie czy klub z Izmiru ma wszystkie informacje o stanie eksploracji z podległego im dużego obszaru? Jeśli chodzi o długość, to najgłębsza jaskinia rejonu jest zarazem najdłuższą i ma 1450 m, a żadna z pozostałych jaskiń nie przekroczyła już długości 500 m.

Wiedząc, co jest znane, jak duży jest rejon i tuż przed wyjazdem dowiadując się, że w rejonie będziemy działać tylko 10 dni (w Turcji w tym terminie odbywały się wybory prezydenckie i nasi koledzy z „ASKATU”



mieli problemy z urlopami), zdawaliśmy sobie sprawę, że wbić się w ciekawy problem będzie ciężko. Mimo morza wapieni w całej Turcji i trzech jaskiń głębszych niż 1000 m, to już tylko cztery kolejne jaskinie są głębsze od 500 m, a dalszych dziewięć głębszych niż 300 m.

Z Polski wyjeżdżamy w pięć osób, a kolejna tak samo liczna grupa Turków dołączy do nas w Izmirze. Podróż do Izmiru pociągami, busami i autobusami przez 4 państwa, zajmuje nam 4 dni. Oprócz plecaka, każdy ma wór ze szpejem, ale na wschodzie duży bagaż nikogo nie dziwi. Po spotkaniu z grotołazami z „ASKATU” już w dwa samochody jedziemy w Góry Bolkar.

Pierwszy obóz wypada w dużym polje nazywanym Kizilova. Tu zatrzymujemy się na dwa dni. Mimo podzielenia się na trzy zespoły i całodniowych „wycieczek” po okolicy, nic dużego nie udaje się znaleźć. Dziury poziome nie mają więcej niż 20-30 m, tak samo ma się sprawa z awenami. Rejon też nie wyglądał ciekawie pod względem geologicznym. Zbudowany był z bardzo cienko uławiconych wapieni mioceńskich, nie dających większych szans zaistnieniu dużym jaskiniom. Sprawdzamy kilkanaście otworów, nic nie kartując i lecimy dalej, bo wszystko małe. Turcy przekonują, że dalej na wschodzie są już znacznie masywniejsze wapienie jurajskie.

Przenosimy obóz, co mimo przejechania tylko kilkunastu kilometrów, zajmuje pół dnia, ze względu na terenowe warunki dróg. Co chwilę trzeba wysiadać i popychać samochód, lub iść koło niego. Tym razem już lepiej. Namierzamy kilka otworów. Pierwsza jaskinia, okazuje się tą najdłuższą. Jest to poziomy meander z przepływem wody i bardzo ładną szatą naciekową. Mierzmy tylko ciąg główny, który ma 307 m, reszta nie pomierzona miała około 50 m. Jaskinia kończyła się zaciśnięciem do rozkucia, za którym było widać kontynuację. Otrzymała nazwę Karagöl Düdeni, co w tłumaczeniu na polski znaczy mniej więcej Ponor Ciemnego Jeziora.

Kolejne jaskinie to już same pionki, ale zwykle małe. Codziennie w rozbiściu na dwie, trzy grupy sprawdzaliśmy po kilka jaskiń. Turcy kartowali wszystko, co było dłuższe niż 50 m. Eksploracja w tak dużym terenie polegała głównie na wywiadach z miejscowymi pasterzami, którzy w okresie letnim pasą tu swoje stada. Przez kolejne dni, co chwilę odkrywamy jaskinie o głębokości 50 do 80 m. Zwykle ładnie zaczynające się dość

obszerne studnie, ale bez prawie żadnej kontynuacji. Otwory są rozrzucone na znacznym obszarze tak, że długie wycieczki piesze lub samochodowe nie należą do rzadkości. Część z nich pasterze lub myśliwi specjalnie zasłaniają konarami drzew lub kamieniami, żeby zabezpieczyć je przed ginącą w nich zwierzyzną, co dla nas eksplorujących teren stanowi dodatkowe utrudnienie, bo nie dość, że szukamy nowego otworu, to często jeszcze zamaskowanego. O wpadających do jaskiń zwierzętach przekonujemy się, gdy w jednej z nich na dnie odnajdujemy szczątki czterech kóz.

W sumie w tym miejscu odkrywamy ponad 30 jaskiń, sporządzając plany 24-ch. Wszystkie mają charakter pionowy. Łączna długość pomierzonych korytarzy przekroczyła 1500 m. Zależało nam na czymś głębokim, a najgłębsza jaskinia Sakarsay 2 osiągnęła - 102 m głębokości, przy 140 długości. Za to kończyła się bardzo ładną naciekową salą. Z innej strony, na pocieszenie, patrząc na rejon, możemy powiedzieć, że jest to prawdopodobnie szósta, co do głębokości jaskini pasma Bolkar, a z ponad dziesięciu wypraw eksploracyjnych, jakie odbyły polskie kluby do Turcji, poza wspomnianymi dwiema jaskiniami o głębokości 100 m, tylko jeszcze Żagańskim „Bobrom” w latach 70. udało się odkryć jaskinię o deniwelacji 123 m.

Rejon na pewno skrywa jeszcze niejedną jaskinię zwłaszcza, że najwyższego sektora górskiego Bolkaru nikt jeszcze nie penetrował pod względem speleologicznym.

W wyprawie Taurus 2007 uczestniczyli ze strony tureckiej: K. Bastanoglu, F. Büyüktopçu (kierownik), A. Dönmež, H. Durmus i S. Žorlu. Stronę polską reprezentowali: M. Bugała, S. Lewandowski, B. Siemota (kierownik), A. Wojtoń – wszyscy Wałbrzyski Klub Górski i Jaskiniowy i J. Kotwica ze Speleoklubu Świątokrzyskiego.

Najgłębsze jaskinie Turcji

1. Evren Gunay Düdeni -1429 m
2. Kuzgun Magarasi -1400 m
3. Cukurpinar Düdeni -1196 m
4. Kuyukuyu -832 m
5. Pinargözü Magarasi -660 m
6. Subatği Düdeni -643 m
7. Sütlük Subatani -640 m
8. Akarca Düdeni -417 m
9. Atlilar -410 m
10. Camilikoy Subatani -379 m

Międzynarodowy staż ratownictwa jaskiniowego SSF 2006

Tegoroczny staż ratownictwa jaskiniowego odbył się w dniach 28.10 – 5.11.2006 na Jurze francuskiej. Stronę polską reprezentowały 4 osoby – 2 przedstawiciele PZA (Sądecki Klub Tatarnictwa Jaskiniowego PTTK, Rudzki Klub Grotołazów „Nocek”), oraz po jednym przedstawicielu GOPR-u i Państwowej Straży Pożarnej (prywatnie członkowie Klubu Tatarnictwa Jaskiniowego Speleoklub Bielsko-Biała).

Staż zorganizowany został na bazie ośrodka szkoleniowego CNSPA w Chalain, natomiast większość zajęć praktycznych prowadzonych było w jaskiniach regionu. Codzienne zajęcia szkoleniowe rozpoczynały się rano i trwały, z przerwami na posiłki, do godz. 22. Ich tematyka w trakcie kolejnych dni obejmowała naukę i doskonalenie linowych technik transportu noszy (na skałkach, a następnie w jaskiniach), działania medyczne w jaskini, techniki poszerzania korytarzy jaskiniowych (głównie w oparciu o materiały wybuchowe), łączność podczas akcji pod ziemią oraz techniki autoratownictwa jaskiniowego.

W trakcie stażu przeprowadzono dwie pozorowane akcje ratownicze. Pierwsza z nich odbyła się w jaskini Baume de la Favičre, gdzie uczestnikom stażu postawiono zadanie wydobywania osoby poszkodowanej z głębokości -93 m. Całość zajęła 7 godzin i zakończyła się pełnym sukcesem. W części sztabowej tej akcji, oprócz członków SSF, udział wzięli również przedstawiciele władz lokalnych oraz obrony cywilnej.

Drugą akcję przeprowadzono w jaskini Borne aux Cassots – najdłuższej jaskini Jury, gdzie zgodnie z założeniem ćwiczeń, w odległości około 2 km od otworu doszło do wypadku. Zadaniem uczestników stażu było zorganizowanie i przeprowadzenie transportu poszkodowanego do otworu. Ze względu na poziomy charakter jaskini (z krótkimi odcinkami linowymi), cała akcja, do momentu dostarczenia poszkodowanego na parking w pobliżu jaskini, trwała 10 godzin.

Ostatni dzień stażu zakończyły zajęcia na temat ratowniczego nurkowania jaski-



niowego, których integralną część stanowił pokaz pokonywania syfonu przez zespół nurków z noszami, w wykonaniu grupy ratowników SSF. Rolę syfonu odegrało jezioro, natomiast rolę poszkodowanego – jeden z uczestników kursu. Staż zakończyło podsumowanie, po którym uczestnicy rozjechali się do domów.

Podsumowując, w trakcie stażu, w pięciu akcjach jaskiniowych, spędziliśmy pod ziemią łącznie kilkadziesiąt godzin, prowadząc działania medyczne, wybuchowe, czy wreszcie przede wszystkim doskonaląc techniki ratownicze. Poziomy staż nie zaskoczył nas i z satysfakcją stwierdziliśmy, że jesteśmy na tyle całości nieźle do niego przygotowani. Pozwoliło nam to koncentrować się na różnego typu szczegółach i nowinkach, którymi moglibyśmy podzielić się po powrocie. Wyjazd umożliwił nam poznanie aktualnych technik i trendów funkcjonujących w francuskim ratownictwie jaskiniowym, oraz dał szansę na współdziałanie z ratownikami jaskiniowymi i grotołazami z różnych krajów. Przeprowadzone podczas stażu ćwiczenia, pokazy i wykłady były dla całej naszej czwórki cennym doświadczeniem.

Na koniec pragniemy podziękować PZA i KTJ PZA za umożliwienie uczestnictwa w stażu oraz Zarządowi Głównemu GOPR za nieocenioną pomoc w organizacji wyjazdu.

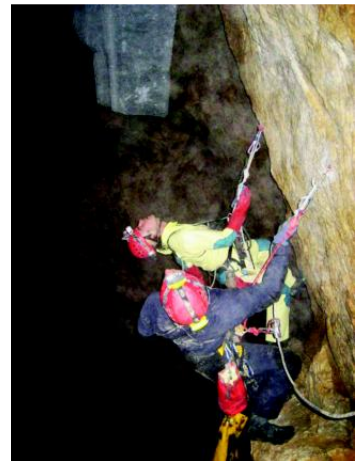
Tomasz Traciłowski

Wyprawa jaskiniowa Hoher Göll-2007

28. lipca 2007 zakończyła się wyprawa eksploracyjna w masyw Hoher Göll (Alpy Salzburskie), zorganizowana przez Wielkopolski Klub Taternictwa Jaskiniowego. Zgrupowanie trwało łącznie cztery tygodnie. Udział w nim wzięło 11 grotolazów z Wielkopolskiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego oraz 3 osoby z Rudzkiego Klubu Grotolazów „Nocek”. Kierownikiem wyprawy był Mateusz Golicz z RKG „Nocek”. Będąc osiemnastym wyjazdem z rządu, wyprawa kontynuowała prace prowadzone w latach ubiegłych w Hochschartehöhlsystem, składającym się z trzech jaskiń: Unvollendeterschacht („Niedoróbka”), Höhle der Sprechenden Steine („Jaskinia Gadających Kamieni”) oraz Kammerschartenhöhle.

Mimo kaprysów pogody, w tym 20-centymetrowego opadu śniegu, udało się zrealizować zasadniczy cel – dwukrotny biwak w sali Katedra na głębokości ok. 450 metrów. Prowadzone z biwaku akcje eksploracyjne doprowadziły do poznania ok. 1,4 km (trwa do-

kładne opracowywanie wyników pomiarów) nowych korytarzy w systemie. Zeszłoroczne problemy z ciągu wschodniego zostały całkowicie zamknięte. W ciągu zachodnim niestety nie udało się jeszcze odnaleźć kontynuacji horyzontalnych „gangów” – odkryto za to ok. 300 metrów systemu ciasnych partii łączących się w dwóch innych miejscach z dotychczas znanymi korytarzami. Najbardziej obiecujący ciąg wodny doprowadził z kolei na głębokość ok. 770 m do olbrzymiej formacji o charakterze szczelinowym, której zbadanie musieliśmy odłożyć na przyszły rok – podobnie zresztą jak kilka innych, ewidentnych problemów.



Sopelek. Fot. M. Golicz

W rejonie przełęczy Hochscharte odkryto dwa nieznane do tej pory otwory, które roboczo zostały nazwane „Zachęta” i „Podnieta”. Mimo obiecujących początków, obydwie zamknęły się grubą warstwą starego lodu – na głębokościach odpowiednio 100 i 75 m.

Pod koniec wyprawy prowadzono również prace w jaskini Schluckerschacht („Zjadak”), rokującej nadzieje na połączenie z Hochschartehöhlsystemem. Dobre warunki śnieżne w jaskini pozwoliły na zjazd na głębokość ok. 240 m – tj. o 90 metrów niżej niż w latach ubiegłych. Jeśli pogoda pozwoli, na przełomie października i listopada planujemy krótkie rozpoznanie w tej jaskini, które być może wyjaśni nieco więcej.

Mateusz Golicz



Uczestnicy wyprawy, od lewej, góra: Piotr Stelmach, Ola Skowron, Michał Wyciślik, Ewa Kozłowska, Ola Harat, Norbert Skowronski z Ulą Kotewą, Ryszard Chiniewicz, Agnieszka Appelt, Zbigniew Rysiecki; dolny rząd: Mateusz Golicz, Marcin Gorzelańczyk, Stefan Nowak, Sławomir Kozłowski, Wojciech Rysiecki



Z archiwum "Taternika": Jaskinia Śnieżna, początek lat 60. Wyciąg nad Wielką Studnią, z lewej Krzysztof Zdzitowiecki "Pomurnik", z prawej Andrzej Lach "Yeti". Autor nieznan

„Sportowcy na rynku pracy” Drugi cykl naboru do projektu

Do zakończenia projektu zostało ledwie sześć miesięcy a pracy do wykonania dużo. Przed nami nabór do drugiego cyklu projektu. Tak jak poprzednio, nasi doradcy zawodowi pierwszego kontaktu prowadzą w środowisku szeroko zakrojoną akcję informacyjną – zbierają zgłoszenia osób chętnych do uczestnictwa w drugim cyklu projektu. Szczególnie zależy nam na rekrutacji osób pozostających bez stałego zatrudnienia – nie muszą być zarejestrowani w Urzędzie Pracy.

Przypomnę, że uczestnicy projektu mają możliwość uczestniczenia jednym z czterech kursów przygotowanych specjalnie dla nich. Są to:

- manager dyscypliny sportu (koszykówka, siatkówka, piłka ręczna i alpinizm) – absolwenci tego kursu będą mogli otrzymać uprawnienia państwowe,
- marketing sportowy,
- przedsiębiorczość – osoby zakładające własną działalność mogą ubiegać się o dotację na rozpoczęcie działalności w kwocie kilkunastu tysięcy złotych,
- instruktor rekreacji o specjalności techniki linowe – jest to kurs organizowany przez PZA i uczestnictwo w nim wymaga doświadczenia (co najmniej 5-cio letni okres uprawiania jednej z dyscyplin wchodzących w skład alpinizmu). W dalszym ciągu czekamy na zgodę Ministerstwa Sportu na jego organizację, aby absolwenci kursu mogli otrzymać uprawnienia państwowe. Nie tracimy nadziei, choć ze względu na ministerialne procedury trwa to zdecydowanie zbyt długo.



Zajęcia linowe w Zalesiu.

Fot. M. Słupińska

Bogatsi o doświadczenia pierwszego kursu wprowadzimy kilka zmian. Większy nacisk położymy na zajęcia praktyczne. Poprowadzimy je w oparciu o standardy wypracowane podczas kursu pozwalające wprowadzić jednolite zasady montażu. Dodamy zajęcia z dendrologiem, aby absolwenci kursu umieli określać kondycję drzew, na których będą zakładali instalacje linowe. Wydrukujemy podręcznik – opracowane standardy pracy instruktorów rekreacji, który będzie zawierał zalecenia PZA dotyczące technik lino-
wych.

Innym efektem realizacji projektu „Sportowcy na rynku pracy” będzie opracowanie części ogólnej kursu instruktorów rekreacji w formie e-learningu. Już podczas drugiej edycji kursu 10 osób przetestuje tę formę nauczania. Pozwoli im to na odbycie części zajęć kursowych przed komputerem – zajęć, które w wersji tradycyjnej prowadzone są na sali wykładowej. Duże nadzieje wiążemy z udziałem Agnieszki Gajewskiej w grupie osób opracowujących projekt nowego rozporządzenia o kadrach. Prezentuje tam ona stanowisko oraz oczekiwania związku dotyczące kwestii systemu kształcenia kadr w sporcie oraz propozycji zmian przepisów prawa sportowego.

Od lipca, uczestnik pierwszej tury Marek Pastuszka zastąpił Marcina Gałę na stanowisku doradcy zawodowego pierwszego kontaktu z województwa mazowieckiego. Można kontaktować się z nim telefonicznie (0-662-149-300). W województwie śląskim nadal pracują Włodek Porębski (0-662-149-400) oraz Zbyszek Sołtys (0-662-149-500).

Do 21 września czekamy na nowe zgłoszenia – a właściwie to nie czekamy, a wychodzimy do ludzi i zachęcamy do zgłoszenia udziału w projekcie.

Magdalena Słupińska

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego, w ramach Inicjatywy Wspólnotowej EQUAL.

II Wspinaczkowy Meeting Kobiet Będkowie 2007

Monika Młodecka

„No i gdzie ta Brandysówka? Chyba powinnyśmy skręcić w prawo....no to jedźmy.....a może jednak to było lewo? Myślisz, żeby zawracać? Może pojedziemy jeszcze kawałek.....to chyba tu! Tak to tu! Nareszcie...”

Godzina 22, w końcu dotarłyśmy. Ela i tak wybrała chyba najlepszą drogę. Każda następna dziewczyna dotarła inaczej, z przygodami.

„Czego Ty od niej chcesz, Ty męski szowinisto?!” – usłyszałam następnego dnia przed prelekcją Ewy Panejko-Pankiewicz i zaczęłam się zastanawiać, jak czują się nieliczni faceci, którzy przyjechali w roli towarzysząco-wspomagająco-dopingującej. Po wspaniałej prelekcji Ewy, Xenia zaproponowała obejrzenie kultowego już Dosage'a IV. Gdy blisko dwugodzinna dawka wspinaczkowej mocy na ekranie miała się ku końcowi, panowie podchodzili do swoich wpatrzonych w Chrisa Sharmę partnerek. „Kochanie, długo jeszcze?” pytali i często musieli trochę zaczekać na odpowiedź. Cii, panowie, nie przeszkadzajcie!

A skały? No właśnie. Może to nie Hucoco Tanks czy Rodellar, ale nasza kochana Do-

lina Będkowska miała do zaoferowania wystarczająco dużo. Dzięki organizatorce, które zadbały, aby każda dziewczyna dostała odbite topy, poszukiwania najładniejszych dróg trwały jedynie

1/3 dnia. Odbłyły się warsztaty ekiperskie, i dla początkujących, zakończone oczywiście sukcesem. Eliza tłumacząc tajniki otwierania nowych dróg wzbogaciła Krakowskie kobiety na Łabajowej o 2 nowe przeloty, które oczywiście ułatwiły sprawę. Dla spokoju wspinaczy dodam, że spity zostały przetestowane i wszyscy żyją. Droga została wzbogacona również o pamiątkową kamienną tabliczkę (nie używajcie jej jako stopnia, bo ledwo się trzyma). Początkujące wspinaczki nauczyły się natomiast prawidłowej asekuracji oraz zrobiły postępy pokonując nowe drogi.

Oprócz Ewy Panejko-Pankiewicz miałyśmy okazję usłyszeć o na temat swojego

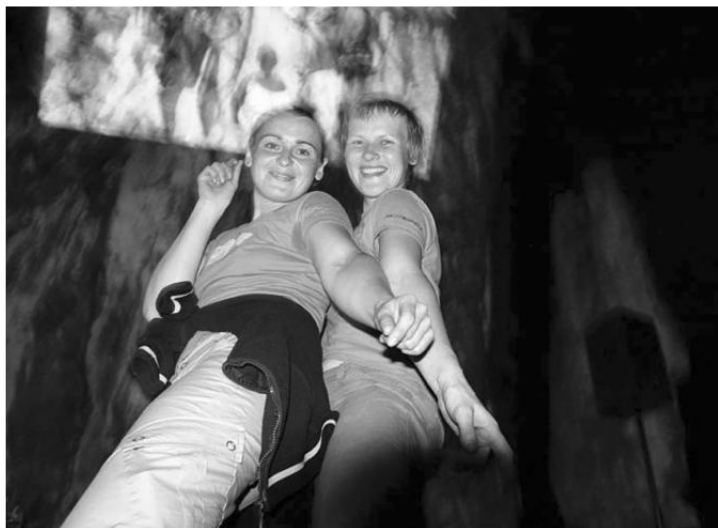


Wszyscy razem.

Fot. M. Gala

wspinania mają do powiedzenia Kinga Ociepka, czy wcześniej już wspomniana Eliza Kubarska, bądź nasza wybitna speleolożka Kasia Biernacka. Mogłoby się wydawać, że prelekcja tej ostatniej dotyczyć będzie jaskiń, ale jak się okazało motywem przewodnim była.... Zuzia! Mała córeczka Kasi, w której zakochał się chyba każdy w promieniu 5 km od Brandysówki, zwiedziła już więcej świata niż jej wszyscy mali koledzy i koleżanki razem wzięci. Głębokie hawajskie jaskinie, śniegi na Mazurach czy piaski Tunezji nie były jej straszne i dzielnie podróżowała ze swoimi rodzicami we wszystkie zakątki świata, co Kasia uwieczniła na wspaniałych zdjęciach. Chyba można powiedzieć, że mała Zuzia, podobnie jak jej rodzice jest już obywatelką świata. Tak samo zresztą jak „duet bardzo inspirujący” czyli Eliza Kubarska i Dawid Kaszlikowski, o których jest ciągle głośno, za sprawą nieustających wypraw. Tym razem Eliza opowiedziała o Meksyku i otwarciu nowej drogi Arte de Malaria w Parku Narodowym Huaseteca, a niesamowite zdjęcia zapierały dech w piersiach. Pełen profesjonalizm nagrodzony został długimi braunami.

Nie zabrakło zawodów. Tym razem był to konkurs w małpowaniu. Miał on miejsce na Dupie Słonia i skutecznie przeszkodził „łojantom” w patentowaniu kultowego już *Murarza*. Najszybciej małpującą dziewczyną została Monika Prokopiuk, która mimo zmęczenia (obowiązywał system pucharowy) i palącego słońca pokonała resztę zawodniczek. Po rozdaniu nagród, przed Brandysówką ustawiła się



Aga i Dorota.

Fot. E. Kubarska (podczas tańców)

duża kolejka po piwo, a 20 min. później nastąpił zmasowany atak na Dupę Słonia, pod którą miała miejsce kończąca Meeting impreza. Jak powszechnie wiadomo towarzystwo wspinaczkowe do cichych i ponurych nie należy, więc nie zabrakło również okolicznych wspinaczy.

Dziewczyny odważnie okupowały parkiet. O muzykę zadbała niesamowita Anna Ziółkowska z ekipą, a oprawą wizualną zajęła się Eliza, której zdjęcia pojawiały się na skale, czasami zaskakująco komponując się z nią i tworząc niepowtarzalny klimat. Impreza skończyła się bladym świtem a wiele jednostek miało podobno poważne problemy z powrotem do namiotów.

Niestety pamiątkowe zdjęcia zostały zrobione następnego dnia rano, kiedy wszystkie byłyśmy ledwo żywe. Mam nadzieję, że trochę retuszu załatwi sprawę.

Takie spotkania mogą odnieść sukces bądź skończyć się kląpą, jak niektóre nieorganizowane przedsięwzięcia. Jednak dzięki wspaniałej współpracy organizatorek Meeting przebiegł bezproblemowo i na dodatek wstrzelił się w słoneczną pogodę, co pewnie też było ich zasługą. Nie żałuję, że pojechałam. Wymiana doświadczeń, poznanie, rozszerzenie horyzontów. Do domu wróciłam zainspirowana i z bardziej sprecyzowanymi planami na przyszłość. Jestem pewna, że kolejne edycje odniosą również wielki sukces (w tym roku przyjechało blisko 100 uczestniczek), a to, co z nich wyniesiemy zaprocentuje w przyszłości, czego wszystkim serdecznie życzę!



Zawody

Fot. M. Popławska

Pionierka

Roman Kordys pisał, że każdy nowy rekord taternicki tkwi głęboko swymi korzeniami w dalekiej i bliskiej przeszłości. Dlatego jest on radością i duszą nie tylko pokolenia, które go stworzyło, ale i tych taterników, którzy już odeszli. „W poczuciu tej więzi wewnętrznej, która łączy całość ruchu taternickiego, czołem bijemy przed tym – który sztandar tatrzańskiego rekordu na nieosiągalnych dotychczas zatknął wyżynach”. (Taternik 1929)

W latach 20. młode kobiety zdawały egzamin z wysokogórskiej dojrzałości. Pragnęły wspinac się samodzielnie. Zaczynały swe wspinaczki przeważnie od turystyki. Często nocowały w górskich kolebach. Głęboka potrzeba obcowania z górami uświadamiała im, że pragną dokonać czegoś wielkiego. Stopniowo zatem opuszczały znakowane szlaki i trzymając się opisu w przewodniku, wchodziły na górskie szczyty. Z czasem zaczęły próbować już dróg nowych, trudniejszych. Niewątpliwie szczególny wkład w historię całego ruchu miały właśnie owe pionierki-kobiety, które samodzielnie uprawiały górskie wspinaczki. Halina Ptakowska-Wyżanowicz nakreśliła portrety kilku taterniczek. W książce „Od krynoliny do liny” próbowała odpowiedzieć na pytanie: kiedy piękno Tatr przemówiło do kobiety i wtargnęło w jej życie, wzbogacając je ową pasją zdobywania Tatr?... Którą z kobiet można by umieścić obok głośnego nazwiska Stanisława Staszica, prekursora polskiego ruchu taternickiego?...

Zatem, czy tylko talent decydował o ich sukcesach? Myślę, że nie tylko, choć owszem – i on miał tutaj swoje znaczenie. Jadwiga Honowska zwierzała się swoim towarzyszom wspinaczek: „w górach żyłam bogato i drapieźnie, w górach miałam szczęście zacząć żyć”. Ta najlepsza taterniczka swego pokolenia wypowiedziała w tym zdaniu uczucia wielu wspinaczy. Po prostu młodzi wspinali się, bo była to ich największa życiowa pasja. Jeśli zaś u niektórych współzawodnictwo odgrywało pewną rolę, to, jak zaznacza Bolesław Chwaściki, nie ono było głównym „motorem” ich taternictwa („Z dziejów taternictwa”, Warszawa 1979).

Jesienią 1927 roku, została założona Sekcja Taternicka AZS w Warszawie. Tworzyli ją młodzi i wysportowani narciarze uprawiający w Tatrach również wspinaczki. Statut był wzorowany na Sekcji Taternickiej AZS w Kra-

kanie. Takie same kryteria służyły określaniu taternickich kwalifikacji członków grupy. Młodzi ludzie zrzeszeni w warszawskiej Sekcji, w kwietniu 1928 roku zorganizowali próbę zimowego przejścia głównej grani całych Tatr Wysokich. Dyskuto-



Jadwiga Honowska
(3.VI.1904 - 19.VIII.1928)

wano wtedy na zebraniach wspinaczy o roli kobiety w taternictwie. Byli zdecydowani przeciwnicy kobiecego wspinania, ale znalazły się osoby, które uważały kobiety za równorzędnych partnerów w Tatrach. A zatem, czy ma ona również prawo wspinac się samotnie? Należy zawsze pamiętać o tym, że taternik nie żyje poza społeczeństwem i że zawsze jest jego członkiem. Zatem dlatego ryzykowne wspinaczki i nagłe w Tatrach tragedie tak mocno bulwersowały opinię społeczną! Ale cóż na to miały odpowiedzieć kobiety, które walczyły w górach o równouprawnienie? Dlatego w końcu nadszedł czas, aby i one, kobiety-pionierki wypowiedziały decydujące zdanie na temat ich roli w górskich wspinaczkach. Czuły się młode, sprawne i gotowe na stawienie czoła tak, jak i mężczyźni, górskim szczytom. Dziewczęta poznawały Tatry, nabywały umiejętności na trudnych drogach, opanowywały techniki wspinaczkowe, musiały same rozwiązywać problemy we wspinaniu się, aż w końcu wyruszyły na osławioną południową ścianę Zamarłej Turni...

„Czyn jest najbardziej konkretną formą odpowiedzi” – napisała Ptakowska-Wyżanowicz w swojej książce. A Stanisław K. Zaremba dodaje, że o wewnętrznej wartości osobistej taternickiego czynu rozstrzyga walka, która w danej chwili została stoczona... Dlatego dla taternika, mimo piękna widoków tatrzańskich, to wspomnienia przejść „burzliwych i niepogodnych należą do najcenniejszych” (Wierchy 1928).

Nasza pionierka Jadwiga Honowska, była z wykształcenia matematyczką. Taternictwo uprawiała od 1923 roku i w dość krótkim czasie została wybitną taterniczką. Wspinała się w towarzystwie braci Alfreda i Jana Alfre-

da Szczepańskich, a także znanych kobiet. W 1927 roku razem z Zofią Czarkowską, jako zespół wyłącznie kobiecy, przeszły wschodnią ścianę Kościelca i grań Walentkowej. Miała za sobą Honowska też drogi nadzwyczaj trudne, przebyte w towarzystwie męskim. Niebawem zostały dokonane w Tatrach dwa poważne przejścia, w których brały udział młode kobiety. Honowska wśród wspinaczy zwana „Jagienką”, jej przyjaciółka Zofia Krórkowska, oraz ich kolega Jan A. Szczepański – weszli na Młynarza z Doliny Białej Wody, a w kilka dni później – z Doliny Zielonego Stawu Kieżmarskiego północną ścianą na Mały Kieżmarski Szczyt. To ostatnie wejście zakończyło się biwakiem w ścianie. Zaremba kreślił wizerunek Honowskiej jako atrakcyjnej, młodej i pięknej dziewczyny, interesującej, mądrej i niesłuchanie wrażliwej. Pomimo, że Jadzia była poważną i solidną studentką, to równocześnie z całą młodzieńczą pasją uprawiała samodzielnie najpoważniejsze i najbardziej trudne wyprawy tatrzańskie. Będąc już w górach, gdy np. niepogoda zmuszała ją do pozostawania w schronisku, umiała rozmowę słuchaczom, kierując ich uwagę na tematy artystyczne lub naukowe. Przeszła północną ścianę Koziego Wierchu, południowo-zachodnią ścianę Kieżmarskiego Szczytu, północno-zachodnią ścianę Galerii Gankowej. Do jej osiągnięć należy też pokonanie południowej ściany Zamarłej Turni (miała w 1928 roku pierwsze samodzielne wejście kobiece, choć w męskim towarzystwie). „Wielka Encyklopedia Tatrzańska” (Poronin 1995) podaje, że wśród jej nowych dróg było pierwsze wejście zlebem z Pustej Dolinki wprost na Kozia Przełęcz Wyżnią w 1928 roku.

W zimie Honowska również wspinała się brawurowo, dokonując wtedy pierwszych wejść na Mały Kołowy Szczyt i przez Niemiecką Drabinę na Mały Kieżmarski Szczyt (o której to wyprawie wcześniej wspomnieliśmy). W związku z toczącą się żywą dyskusją na temat samodzielności kobiet w taternictwie, Jadwiga Honowska zaczęła od 1927 roku chodzić na wspinaczki w zespołach kobiecych. Miała dwie oddane towarzyszkę: Zofię Czarkowską i Helenę Dębińską. Przeszła w ich towarzystwie północno-wschodnią ścianę Zadniego Kościelca Kominem Drewnowskiego. (Z. i W. Paryscy)

Jan A. Szczepański w swojej książce „Przygody ze skałą, dziewczyną i śmiercią” zaznaczył, że Honowska stała się pionierką samodzielnego taternictwa kobiecego. „Jaszcz” był jej dobrym kolegą i przyjacielem, towarzy-

szem wielu trudnych wspinaczek. Napisał: „kobieta zdobyła sobie równouprawnienie i w tym sporcie, wyjątkowo trudnym i wymagającym tak wielkiego nakładu sił”. „Jadzia namiętnie pragnęła przygód, wyzycia się w sporcie, bujnego i pełnego życia – wspomina Szczepański – „Matematyka i Przygoda – to jakoś nie pasuje do siebie. U Jagienki wiązało się harmonijnie z niezwykłą, delikatną urodą”. Była drobną, szczupłą dziewczyną, o przenikliwych, czarnych oczach, krótkich prosto zaczesanych ciemnych włosach. Nosiła się skromnie i nie malowała. Miała wrodzone uzdolnienia taternicze, prawie uważano je za naturalne. Z doskonałą intuicją wyszukiwała najlepszą drogę wychodząc z trudnych sytuacji w Tatrach obronną ręką. Szczepański przydzielił jej na wspinaczce rolę przewodnika na Ramieniu Krywania i to stało się decydującym momentem w rozwoju jej całego taternictwa. Jadzia sprawdziła wówczas swe siły i uwierzyła w siebie. Wspominał Szczepański, że z niedoświadczonej choć pełnej zapалу turystki zrodziła się z niej prawdziwa taterniczka. Honowską wyróżniała ambicja sportowa i dążność do osiągnięcia rekordu. Była „zawsze skłonna do ryzyka”. Nie traciła ducha w niezwykle ciężkich momentach. Wnosiła wiele pogody i optymizmu w trudne zmagania się ze skałą. Znalazła uznanie w oczach swych towarzyszy. Podziwiano ją i ufano, że przy jej pomocy w górach wszystko będzie dobrze.

I wreszcie nadeszła w jej życiu ostatnia już wyprawa. Miała na celu udowodnić zupełną samodzielność taternictwa kobiecego. W pogodny lipcowy dzień 1928 roku razem z przyjaciółką Zofią Krórkowską (ur. 1903), studentką filologii klasycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim, ruszyły z Doliny Staroleśnej na Ostry Szczyt południową ścianą, drogą Häberleina. Ta wyprawa zakończyła się ich tragiczną śmiercią...

Na Górnym Trawniku, już po przejściu największych trudności, jedna z nich odpadła. Szarpnięcie liny wyrwało hak asekuracyjny i obie pionierki zginęły. Dziewczęta złączyła przyjaźń na życie i na śmierć...

Jadwiga Honowska została pochowana na cmentarzu w Zakopanem przy ulicy Nowotarskiej. Tam mieszkańcy uczynili kąć poświęcony zmarłym „Orłotom Tatr”. Niech czyny jej będą dla nas przykładem niezłomnej ofiarnej odwagi w drodze pionierskiej ku szczytom Tatr...

Mariola Bogumiła Bednarz

Wielka Encyklopedia Gór i Alpinizmu

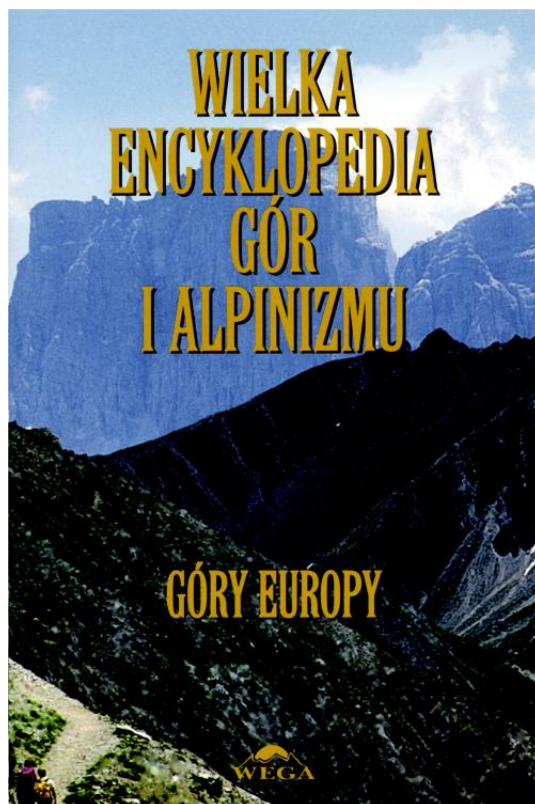
Tom III – Góry Europy

Celem rozpoznania zadania przed napisaniem tej krótkiej notki, przejrzałem dwie poprzednie recenzje w „Taterniku” dotyczące I i II tomu WEGI. Zaniepokoiło mnie nieco to, że ich autorami byli Panowie cieszący się równie dużym szacunkiem, jak autorzy encyklopedii. Znamcy tematu i literatury – czy to alpinizmu w ogóle czy też Gór Azji (tom II). Właściwie powinienem zarzucić „zadanie” i więcej nic nie pisać, bo moje doświadczenie i znajomość literatury tematu ma się nijak do wiedzy moich starszych kolegów, co więcej większość z nich ma w swoim dorobku liczne publikacje, także książkowe, co sprawia, że doskonale wiedzą, o czym piszą – znając z autopsji ryzyko popełnienia poważnych błędów i rozmiar ciężkiej pracy, jaką trzeba ponieść, by wydać wartościową rzecz...

Spróbuję więc podejść do tematu od innej strony. Po pierwsze, co młodsze pokolenie, dajmy na to moje, ma z tego, że mamy już III tom WEGI. Odpowiedź zdaje się być prosta – wiedzę: kompletną i uporządkowaną. Wiedzę, którą możemy wykorzystać w naszej eksploracji gór. Skoro poprzednie pokolenia zrobiły już wszystko latem i zimą na najtrudniejszych, najbardziej znanych ścianach – to nam, żeby nie obniżać poprzeczki zbyt nisko pozostało tylko wyszukiwać problemy dotąd ukryte – gdzieś np. w Azji. W takim przypadku jedyne, co powinno się w tej recenzji znaleźć, to podziw dla wiedzy i ciężkiej pracy autorów, zachwyt nad całościowym ujęciem tematu. I to zachwyt w pełni szczery i zasłużony. Tak właśnie jest – WEGA to publikacja unikalna i „prawie” doskonała”.

III tom WEGI obejmuje góry Europy, można znaleźć w niej niemal wszystko, co dotyczy gór i wspinania w Europie – ze sporym wyeksponowaniem tego, co polskie. Tom zaczyna się i kończy na hasłach dotyczących rejonów rodzimych. Ale to są suche fakty. Recenzja powinna skupiać się raczej na szczegółach... Spróbuję w takim razie trochę inaczej ugryźć temat. I to w sposób dosłowny. Ze względu na oczywiste, nie do przecenienia zalety WEGI, postaram się skoncentrować na jej niedostatkach. Niedostatkach, które, chciałbym to zdecydowanie podkreślić – w żadnej mierze nie obniżają jej wartości.

Jakie widzę pole do sprawienia, by WEGA była jeszcze lepsza? Są według mnie



dwie płaszczyzny, na których jest nieco do poprawienia. Po pierwsze – materiał fotograficzny. Oczywiście w stosunku do I tomu nastąpiła ogromna zmiana i wpadek edytorskich jest zdecydowanie mniej – praktycznie brak tego, co było głównym grzechem I tomu – zdjęć w rozdzielczości 72 dpi – absolutnie nie nadającej się do druku. Obecnie trochę do życzenia pozostawiają zdjęcia na kolorowych wkładkach; czasem źle wyedytowane, a czasem po prostu nie najlepsze. Zdaję sobie sprawę z tego, że WEGA to nie album fotograficzny, ale takie wydawnictwo zasługuje wyłącznie na zdjęcia najwyższej klasy.

Druga moja uwaga dotyczy aktualności haseł. W przypadku niektórych haseł – pominięto ważne drogi i wydarzenia ostatnich 15-20 lat. Przykłady? Grandes Jorasses – brak tak ważnych przejęć dla współczesnego alpinizmu jak klasyczne przejście *No Siesty*, brak informacji o drogach takich jak *Rolling Stones*, czy solówki Laffaille'a. Tak jakby ostatnich 15 lat nie przyniosło nic ciekawego... Podobnie ma się sytuacja z Eigerem, że-

by przytoczyć tylko dwie spośród najbardziej znanych ścian. Brak wielu ekstremów z ostatnich 15 lat – bardzo trudnych dróg klasycznych i mikstowych.

Innym przykładem niech będzie Naranjo de Bulnes. Brak informacji o przejściach po roku 1991 – np. przy jednej z najtrudniejszych dróg w Europie – *Filarze Kantabryjskim* – brak informacji o tym, że została przebyta klasycznie i stanowi jedną z najbardziej znanych klasycznych dróg Europy.

To tylko kilka przykładów tego, że historia wymaga aktualizacji. Doskonałym tego przykładem jest hasło: „Alpy, historia eksploatacji alpinistycznej”, gdzie od roku 1987 mamy 2 wspomniane przejścia.

Osobiście wydaje mi się, że każdy rok przynosi wciąż przejścia godne miejsca w encyklopedii. Znacznie bardziej aktualne jest hasło „Alpy, historia polskiego alpinizmu” – niestety głównie ze względu na brak ciekawych przejść Polaków w górach Europy w ciągu ostatnich 10 lat...

Brak w całej encyklopedii ważnych informacji o drogach – znakach firmowych różnych rejonów – takich jak Hotel Supramonte na Sardynii, czy też haseł ukazujących ważne tendencje w alpinizmie – np. trylogia alpejska (zarówno, jeśli chodzi o łańcuchówki na północnych ścianach, jak i o 3 legendarne alpejskie drogi wielowyciągowe – o trudnościach 8b+ (wspomniano tylko tę autorstwa braci Huberów).

A Tatry? Kazalnica – ostatnia informacja także pochodzi z roku 1992. A przecież *Bushido* – jedyna droga wytyczona na Zerwie

samotnie, w ciągu jednego dnia – to rok 2003... Brak informacji o takich drogach jak *Superparanoja* – równie przełomowej dla zimowej wspinaczki, jak te wspomniane.

Mnich potraktowany został bardzo po macoszemu – nie tylko brak informacji z ostatnich 3 lat, o tendencji umieszczania tam ekstremalnych dróg sportowych (np. *Metallica*, *Misterium Nieprawości*), ale brak też szczegółów dotyczących najważniejszych dla taternictwa odhaczeń lat 80-tych i 90-tych (jest tylko *Wariant R* – brak zarówno ważnych ósemek, z lat 80-tych, jak i legendarnego odhaczenia drogi Sadusia...)

Podobnie mógłbym się czepiać informacji dawno już nie aktualnych takich jak to, że „Podlesickie, skałki” oferują drogi od II do VI.4+. Ale to by było tylko „czepianie się” i właściwie głupio się czuję wytykając tak małe szczegóły w odniesieniu do całości.

W sumie każda krytyka takiego dzieła jak WEGA, to po prostu czepianie się szczegółów. Powstaje pytanie czy ktokolwiek na świecie byłby w stanie ich uniknąć. Zapewne nie...

Aczkolwiek, jeśli w przygotowywanym tomie o górach Ameryki miałoby zabraknąć ekstremalnych przejść z ostatnich 15 lat w Patagonii, na Alasce czy w Yosemitech, to byłaby to ogromna strata dla IV tomu WEGI.

Tak czy siak – głównym autorom WEGI oraz ich współpracownikom należą się najwyższe wyrazy uznania, a III tom powinien znaleźć się na półce każdego „górofila”, tuż obok tomów I i II.

Jakub Radziejowski



Fot. B. Jankowski

Kazimierz Kowalski (1925 – 2007)

W dniu 29 maja 2007 zmarł Kazimierz Kowalski, słusznie uważany za najwybitniejszą postać w polskim ruchu jaskiniowym.

Urodził się w 1925 r. Jaskiniami zaczął zajmować się mając kilkanaście lat i od razu rozpoczął systematyczną inwentaryzację wszystkich jaskiń, znanych ówczesnie na terenie Polski. Rezultatem było opublikowanie przez niego w latach 1951-1954 trzutomowego, fundamentalnego dzieła „Jaskinie Polski”.

Początkowo jaskinie zwiedzał sam lub z przygodnymi towarzyszami; było to jednak niewystarczające w przypadku jaskiń trudno dostępnych, wymagających działania w większym zespole, stosowania specjalnych technik, sprzętu itd. Momentem przełomowym na tym polu było powstanie w 1950 r. Klubu Grotołazów, którego jednym z pięciu założycieli był Kowalski. Ta grupa, początkowo nieformalna, zainicjowała w Polsce rozwój taternictwa jaskiniowego. W tym rozwoju Kazik, bo tak był poszechnie nazywany, odegrał prawdziwie wybitną rolę.

W latach 50. niezwykle aktywnie działał na polu eksploracji jaskiń. Dokonał m.in. pierwszego zejścia na dno kominów w Jaskini Miętusiej (co było ówczesnym rekordem głębokościowym w Polsce), jako pierwszy przeszedł w stroju nurka syfon w Jaskini Zimnej, uczestniczył w szeregu odkrywczych wypraw do jaskiń tatrzańskich i niektórych zagranicznych. Brał udział w eksploracyjnej wyprawie do Gouffre Berger w 1956 r., kiedy to po raz pierwszy przekroczono głębokość 1000 m. Podczas tej wyprawy jako jeden z nielicznych jej uczestników, a pierwszy Polak, dotarł do ówczesnego „dna świata” na głębokości -1122 m. W obozie na powierzchni na uczestników tego rekordowego zejścia oczekiwali telegram z gratulacjami od prezydenta Francji. Ten ówczesny, światowy rekord utrzymał się przez następnych kilkanaście lat.

W 1953 r. Kazik został pierwszym przewodniczącym utworzonej wówczas Podkomisji Taternictwa Jaskiniowego, działającej początkowo w ZG PTTK, a później jako Komisja Sekcji Alpinizmu ZG PTTK i GGKFiT, wreszcie jako organ Klubu Wysokogórskiego, po jego reaktywacji w 1956 r. Powstanie tej Podkomisji zapoczątkowało tworzenie w różnych ośrodkach lokalnych sekcji i klubów, nastawionych na działalność speleologiczną, a mających różną formę organi-

zacyjną, prowadzenie kursów szkoleniowych, produkcję specjalistycznego sprzętu itd. Z inicjatywy Komisji już od 1955 r. rozpoczęły się wyprawy do trudnych jaskiń zagranicznych.

Za owocną, wszechstronną działalność na polu taternictwa jaskiniowego Kazimierz Kowalski uzyskał w 1974 godność członka honorowego Polskiego Związku Alpinizmu, a pod koniec życia, w 2006 r. wyróżniony został, jako pierwszy z grotołazów, prestiżową nagrodą Super Kolosa, przyznaną za całkoształt pionierskich dokonań na polu eksploracji jaskiń.

Będąc zoologiem, zajmował się również jaskiniami od strony naukowej, głównie współczesnymi nietoperzami i subfosylnymi tych zwierząt znajduwanymi w osadach jaskiniowych. Niemal połowa z blisko 700 publikacji składających się na jego dorobek naukowy związana jest z jaskiniami i krasem. Był członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk i członkiem czynnym Polskiej Akademii Umiejętności, a w latach 1994-2000 – prezesem tejże Akademii.

Dodać trzeba, że był jednym z inicjatorów powołania w Polsce organizacji speleologicznej o profilu naukowym. W rezultacie w 1964 r. utworzona została Sekcja Speleologiczna przy Polskim Towarzystwie Przyrodników im. Kopernika, a Kazimierz Kowalski został pierwszym jej przewodniczącym. Istnienie tej Sekcji umożliwiło przyjęcie Polski (w 1973 r.) jako kraju członkowskiego do Międzynarodowej Unii Speleologicznej.

Przed rokiem, z okazji przyznania Kazimierzowi Kowalskiemu nagrody Super Kolosa, Janusz Baryła opublikował w „Jaskiniach”, w numerze 1(42) obszerny artykuł na temat jaskiniowej działalności laureata. Dlatego też niniejszy nekrolog ograniczony jest jedynie do wymienienia najważniejszych osiągnięć Kazika związanych z jaskiniami. Jaskinie były jego prawdziwą pasją.

Ryszard Gradziński



Andrzej Truszkowski (1918 – 2007)

Kolejny przedstawiciel starej gwardii wyruszył na swą ostatnią wyprawę. 9 czerwca 2007 zmarł w Krakowie ostatni z czwórki braci Truszkowskich, Andrzej Ignacy. Urodzony 10 października 1918 r., studia ekonomiczno-handlowe odbył w Akademii Handlowej i uzyskał stopień magistra. Turystykę tatrzańską uprawiał od r. 1937, w 1945 zapisał się do PTT, wspinaniem zaraził się w dolinkach. Towarzyski i miły, szybko stał się jedną z popularniejszych postaci powojennego rzutu Pokutników. Słusznej posturze zawdzięczał przekorne przezwisko „Małeństwo”. Wiosną 1949 r. ukończył kurs skałkowy zaś latem szkolenie w Tatrach nad Morskim Okiem. W r. 1951 przeszedł kurs dla zaawansowanych. Do KW został przyjęty 5 grudnia 1949 r. z rekomendacją Karola Jakubowskiego, członkostwo zwyczajne uzyskał w 1951. Miał od początku znakomitych partnerów, do których należeli Stanisław Biel, Jan Zarębski, Jan Zaunar, Zenon Węgrzynowicz, Jerzy Lechowski, a przede wszystkim młodszy brat, Wojciech Truszkowski (zmarły w 2003 r.) Andrzej wspinał się w skałkach, intensywnie chodził po Tatrach. W r. 1949 przeszedł pn. ścianę Mięguszwieckiego, latem 1951 zaliczył obie ściany Kościelca, 5 dróg na Zamarłej Turni (w tym Wrześniaków i Siedleckiego), a na Mnichu m.in. Stanisławskiego i „kant”. Przeszedł rzadko odwiedzaną północną ścianę Świstówki, wraz z bratem poprowadził częściowo nową drogę na pn. ścianie Koziego Wierchu, na prawo od drogi Grońskiego. Dalej sezony były równie owocne.

18 sierpnia 1952 Andrzej powtórzył drogę Dziędzielewicza i Kubińskiego na Kościelcu – jego partnerem był Adam Skoczylas. 14 lutego 1953, wraz ze Zbigniewem Jaworowskim i Adamem Skoczylasem, Andrzej Truszkowski podjął próbę I wejścia zimowego wschodnią ścianą Mnicha na Mnichową Przełęczkę Wyżnią. W trakcie wspinaczki pogoda się zmieniła, zrobiło się bardzo mroźno. Z 16 na 17 lutego z pomocą pośpieszyli Zbigniew Skoczylas i bracia Wałowie. Zjechali z przełęczki i wyciągnęli z pułapki zezmarzniętych kolegów i splecione, zamarznięte liny.

Wcześniej, 11 lutego 1953, podczas ćwiczeń ratowniczych na progu Czarnego Stawu wydarzył się wypadek lawinowy. Z przodu byli Andrzej Truszkowski i Adam Skoczylas, pozostali niżej ciągnęli tobogan i na nich ze-

szła lawina. Zasypała Teresę Rubinowską, Zbigniewa Skoczylasa i Tadeusza Westfalewicza. Sytuacja była groźna. Koledzy, m.in. Andrzej i Adam, podjęli natychmiastową i pomyślnie zakończoną akcję.

30 sierpnia 1953 Andrzej Truszkowski uczestniczył w pamiętnej I Polskiej Alpiniadzie na Orlej Perci, zaś w marcu 1954 w I Ogólnopolskiej Alpiniadzie Zimowej. Jego pierwsze wejście w masywie Niżnich Rysów 7 sierpnia 1954 odnotowały „Góry Wysokie” (lutym 1955), nazwisko pojawiło się też w „Oscypku”, np. po I zimowym trawersowaniu Dziurawej Przełęczy (20 III 1955). Nie stronił od długich graniówek. W ramach alpinistyki w dniach 22–25 marca 1954 zrobił I przejście zimowe grani od Wołoszyna do Mięguszwieckiego Szczytu, wiosną 1956 r. uczestniczył w tragicznej wyprawie zimowej granią Tatr, rozpoczętej 31 marca od Przełęczy pod Kopą, a przerwanej 12 kwietnia śmiertelnym wypadkiem Czarnockiego i Strumiły („Taternik” 1/1957). W r. 1957 wyjechał w Kaukaz, gdzie wszedł na Gumaczi (3909 m) a w kilka dni później w licznej polskiej grupie na wschodni wierzchołek Elbrusa (5595 m). Latem 1959 wspinał się w Alpach Julijskich a jego głównym sukcesem było – oprócz filara Stenara – wejście na Trigłav słynnym 900-metrowym filarem Juga (z Janem Słupskim, 14 IX 1959). Do taternickiej beletrystyki trafił jako ofiara (zresztą o mało nie śmiertelna) młotka spadającego północną ścianą Mięguszwieckiego w dniu 12 kwietnia 1953 r., o czym pisali m.in. Jan Długosz („Direttissima”), Andrzej Wilczkowski, Stanisław Worwa. Alpinizmem interesował się do końca życia, gromadził literaturę, cieszyły go wędrowki turystyczne. Dużą radość sprawił mu przyznany mu w r. 2003 Medal 100-lecia Alpinizmu Polskiego. Jak nas informuje pani Anna Truszkowska-Małecka, Zmarły był oblatem świeckim Opactwa Benedyktynów w Tyńcu, odznaczonym Krzyżem Pro Ecclesia et Pontifice. Do życiorysu warto też dodać, że Andrzej Truszkowski był działaczem klubowym, m.in. prezesem Koła Krakowskiego Klubu Wysokogórskiego. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 18 czerwca na cmentarzu Rakowickim – z licznym udziałem senioratu klubowego.

Józef Nyka

Jerzy Pilitowski (1927 – 2006)

30 grudnia w Toronto zmarł inż. architekt Jerzy Pilitowski. Urodził się 17 marca 1927 r. w Kaliszu, więc miał bez mała 80 lat. W czasie okupacji wstąpił do Szarych Szeregów i był żołnierzem powstania warszawskiego (ps. „Sylwek”, „Zych”, „syfon”). Jak podaje „Encyklopedia Powstania”, walczył w stopniu starszego strzelca w rejonie Politechniki, w III batalionie zgrupowania „Golski”. Po powstaniu został wywieziony do Niemiec jako jeńiec nr 103311 do stalagu Lamsdorf a potem do Mühlbergu i do Brockwitz. Do kraju wrócił wiosną 1947 roku. Studiując w Krakowie, wspinał się w skałkach i w Tatrach, m.in. z Janem Długoszem, Staszkiem Bielem, Andrzejem Pietschem. Podczas wakacji szukał w górach zatrudnienia – Halina i Janusz Voglowie wspominali go jako sezonowego pomocnika w restauracji na Kasprowym Wierchu. Tatarnictwa nie traktował wyczynowo, w środowisku był jednak bardzo popularną postacią, m.in. czołowym odtwórcą słowackich piosenek, które po latach wraz z Markiem Stefańskim spisał z pamięci do prowizorycznego wydania. Z talentem fotografował i rysował – np. okładkę „Gór Wysokich” z lutego 1955 roku. W Krakowie działał w „Piwnicy pod Baranami”, której był współzałożycielem.

W Tatrach i na Podtatrzu pamiętany jest jako zdolny architekt, należący do reformatorów stylu budownictwa tatrzańskiego lat 60. i 70. Był współprojektantem m.in. pawilonu przy Włosienicy, osiedla mieszkaniowego na Pardałowce, domu wypoczynkowego „Harnaś” w Bukowinie Tatrzańskiej nad szosą do Mor-

Jolanta Maciuch-Grzybowska (1952 – 2007)

Po 14 latach walki z rakiem, 27 stycznia 2007 r. zmarła Jolanta Maciuch-Grzybowska, lekarka i alpinistka. Ukończyła Akademię Medyczną w Warszawie, specjalizowała się w chirurgii. Pracowała w szpitalach na Solcu i w Otwocku, od początku lat 90. była lekarką w redakcji „Gazety Wyborczej”. Ok. 1980 r. zaangażowała się w działania „Solidarności”, m.in. w kolportaż „Tygodnika Mazowsze”. W Tatrach miała udane sezony, tak np. z obozu przy Jamskim Stawie latem 1979 r. przywiozła 3 nowe drogi: wsch. ścianą Jamskich Turni, pd.-wsch. filarem Ważeckiego Zębu i wsch. ścianą Liptowskiej Turni Pośredniej. Swoją wiedzą lekarską służyła ca-

skiego Oka. Z jego udziałem powstawały nie zrealizowane nowatorskie projekty schronisk nad Morskim Okiem i na Hali Kondratowej, tworzył też nowe budowle i kompleksy poza górami, a nawet w Azji Mniejszej i w Afryce. Zaprzyjaźniony z Bronisławem Chromym, realizował założenia architektoniczno-rzeźbiarskie, głównie pomniki. W r. 1990 osiadł na stałe w Toronto. Wraz z żoną Marią Nowotarską – aktorką z zawodu, koleżanką ze studiów Anny Milewskiej-Zawadowej – założył tam Salon Muzyki i Poezji, który kulturalną Polonię podbijał ambitnymi spektaklami teatralnymi. Często odwiedzał Polskę, także ze swoim zespołem scenicznym, uczestniczył w zlotach seniorów nad Morskim Okiem i utrzymywał żywe więzi z dawnymi górskimi przyjaciółmi. Barbara Morawska-Nowak, która odwiedzała Pilitowskich w Toronto, przysłała nam kopię dużego artykułu Stanisława Ślusarczyka pt. „Jerzy Pilitowski”, zamieszczonego w piśmie „Związkowiec” z 9 maja 2002. O górach jest w tym tekście niewiele, ale szczegółów biograficznych bez liku. Zmarł po długich cierpieniach 30 grudnia, nabożeństwo żałobne odbyło się 7 stycznia u Norbertanek w Krakowie, uroczystości pogrzebowe zostały odłożone do lata.

Józef Nyka

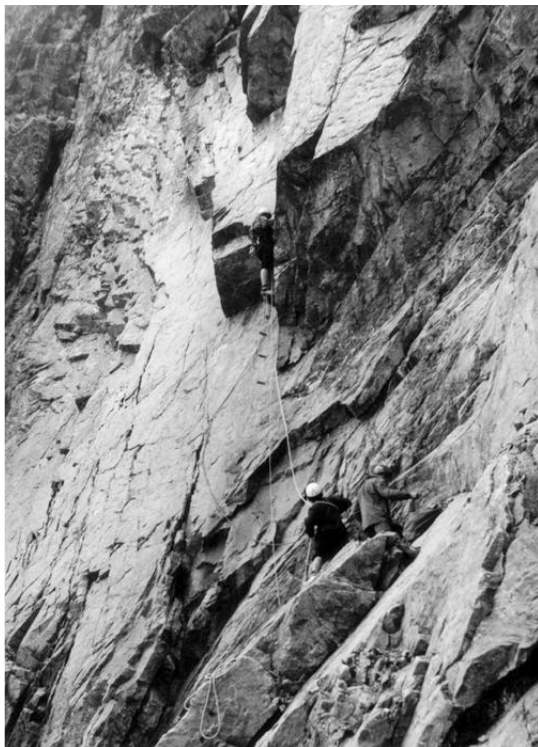
łemu środowisku górskiemu Stolicy, udzielała się w życiu klubowym, w KW i PZA pracowała w różnych komisjach. Wyjeżdżała w Alpy, m.in. latem 1977 do Szwajcarii. W roli lekarki-alpinistki dwukrotnie uczestniczyła w wyprawach himalajskich: w r. 1980 na Kangchendzöngę (ekipa Karla Herrligkoffera) i w 1982 na K2 (kobięca wyprawa pod wodzą Wandy Rutkiewicz). Pod Kangchendzöngą miała pełne ręce roboty, opiekowała się bowiem też wyprawą meksykańską („Taternik” 3/1980 s.112). Na K2 ciężko przeżyła śmierć Haliny Krüger, której nie mogła już pomóc („Taternik” 2/1982). Trapiąca ciężka choroba, po jej atakach wracała do pracy i do zajęć klubowych. Spoczęła na Powązkach Wojskowych.

Józef Nyka



Ivan Dieška (1941 – 2006)

10 grudnia 2006 zmarł w Bratysławie Ivan Dieška, wybitnie zasłużony słowacki taternik, alpinista, trener i pisarz górski, z zawodu inżynier elektronik. Taternictwo uprawiał od ok. 1960 w lecie i w zimie, dokonując w latach 1966-1978 około 30 pierwszych przejść o najwyższych trudnościach, m.in. w 1966 na południowo-zachodniej ścianie Jastrzębiej Tur-



Na nowej drodze wschodnią ścianą Baraniej Kazalnicy. Prowadzi Ivan Dieška, asekuje jego brat Peter. Fot. A.Luczy

ni, w 1967 r. na południowej ścianie Kieżmarskiego Szczytu, wschodnich ścianach Baraniej Kazalnicy i Kołowego Szczytu oraz południowej ścianie Skrajnego Jastrzębiego Kopiniaka, w 1970 na zachodniej ścianie Łomnicy (Czarnym Filarem) i północnej ścianie Małego Kieżmarskiego Szczytu. Miał również bogaty dorobek w Alpach Zachodnich (m.in. Całun i Filar Walkera na Grandes Jorasses), Dolomitach (drogę Philippa i Flamma na Punta Tissi) i pierwsze klasyczne przejście drogi Carlesso-Menti na Torre di Valgrande), Kaukazie, górach Norwegii, Afryki, Azji Centralnej i USA. Uczestniczył w czechosłowackich wyprawach w Himalaje (Nanga Parbat 1971) i Pamir (1972).



Od 1962 był członkiem klubu TJ Lokomotiva Bratislava, od 1968 sprawował funkcje w naczelnych organizacjach alpinistycznych Słowacji (prezes) i Czechosłowacji (wiceprezes). Jako przewodniczący rady trenerów alpinizmu Czechosłowacji (w latach 1971-1976) wypracował pierwsze w tym kraju koncepcje sportowej wspinaczki skalnej i bulderingu.

Był autorem książek: „Cvičné skaly na Slovensku” (1978) i „Horolezectvo zblízka” (1984), oraz głównym twórcą świetnej encyklopedii „Horolezectvo” (1989).

TATERNIK

Magazyn informacyjny Polskiego Związku Alpinizmu
Nr 2 (314) Rok 81 ISSN 0137-3155
Redakcja, opracowanie graficzne i skład: Janusz Kurczab
Ul. Krakusa 1 m. 13 03-390 Warszawa
Tel. 022/409-32-40 E-mail: taternik@pza.org.pl
Wydawca:
Antykwariat Górski „Filar” Henryk Rączka
Ul. Alabastrowa 98, 25-753 Kielce
Tel. 041/345-62-19
<http://www.antykwariat-filar.pl/>

POLSKI ZWIĄZEK ALPINISTÓW
Centralny Ośrodek Szkolenia
„BETLEJEMKA”
34-500 Zakopane, Hala Gąsienicowa
pieczęćdnia 20...

Od kogo
Kol. Piotr Komar

za co

opłata za udział
w kursie instruktorskim
Polskiego Zw. Alpinist.

Centralny Ośrodek Szkolenia
Polskiego Związku Alpinizmu

Betlejemka

Hala Gąsienicowa,
34-500 Zakopane, box 399
tel: 0-18 20 19 124
gsm: 603 424 101
betlejemka@poczta.onet.pl
www.pza.org.pl/tatry/betlejemka

- kursy taternickie
- kursy ski-tour
- kursy lawinowe
- kursy wspinaczki w lodzie
- baza noclegowa

Kwota powyższa
W. Kupała
podpis kasjer

135

Nawet najlepsi uczyli się u nas...



Fot. B. Jankowski

